Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1886. Rok IX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

Puszcze i knieje podgórskie w starożytności i wiekach średnich

przez

Szczęsnego Morawskiego.

(Ciąg dalszy.)

Werchowiny — Łotewskie knieje w Podgórzu.

Sarmacya górska wschodnia, zwie się dziś Werchowiną na Beskidzie wielkim, a połoniny jej słyną tucznością bydła i po dziś dzień są wołów krainą w całem znaczeniu słowa, jak słynęły ongi zwąc się *sar-ma.*

Werszys (litewskie) oznacza: wołu – a *gows:* krowę. *Werszys-gow* znaczy woły i krowy. *Werszysgowina* więc: bydlęca kraina, Sarmacya. Łotwa wschodnia zajęła Sarmacyą wschodnią i po swojemu nazwała ją od *jautis:* wół, tur: *Jatwa*, Wołyń... siebie zaś nazwali Jatwieżą Jatwingami.

Łotwa zachodnia zaś, zajęła połoniny (...? a może wołoniny?...) sarmackie na Beskidzie i z litewska nazwała *Werszgowinami.* Rumuni w Dakji siedmiogrodzkiej nazwali ich: wolarzami, Bojkami.

Litwa albo raczej Łotwa zachodnia długo musiała panować nad górami naszemi i zagorami w Pannonii górnej. Błota z żubrem i łosiem, knieje z niedźwiedziem żywiącym się bydłem, jeleniem, sarną... więc jaworza liściaste, dąbrowy, bugaje: oto pielesz łotewskich łowców! tam śledzić tropów człowieczych łotewskich.

Żumbrys łotewskie: żubr.

Bredys łotewskie: łos — walający się po bagnach leśnych: *ballus* zwanych; więc berdia.

Meszka łotewskie: niedźwiedź — a właściwie: *lacys.*

Kamstys (litw.) ryś.

Mesz łotewskie: las.

Klawa łotewskie: jawor.

Syle łotewskie: żołądź, owoc dębu: *osols.*

Cyrste łotewskie: ciąć, rąbać; *cyrtys* zrąb, poręba.

Czakka łotewskie: kji odziomek, kiścien; *Czakkans*, młot drewniany.

Czakkari łotewskie: odziomki, pniaki... czahary.

Kalts łotewskie: dłuto, motyka.

Stoupe łotewskie: łuk łowiecki.

Kurpe łotewskie: trzewik, chodak, kurpiel.

Kurts łotewskie: pies gończy, chart, pokurcz.

Tauta łotewskie: naród.

Zębrzyce więc to knieje łotewskie i Braciejowe, Bratosowce, Berdychy, knieje łosi berdyi wielkich, za któremi Łotwa zapędzała się hen! hen! na zachód aż do Berdy w Łużycach, których mieszkańce po swojemu nazwali Zemunami, od *zemuna* nizina. W lasach liściastych w Msznach, Mesznach, uganiali się za misiem niedźwiedziem, lubownikiem żołędzi, więc kędyś koło Ossolina, na

Lackowej, Czyrczami, czerteżami. Orężem ich był *czakan* drewniany, a dla możniejszych *kelt* t. j. dłuto zatknięte wprost jako pierzchnia rzutna po dziś dzień używana (nad Dunajcem, do rąbania lodu) albo w poprzek przymocowane jako motyka. Strzelce mieli łuki *stoupy*, ale to chyba na ptactwo, na głuszce, cietrzewie; bo *stołpy* to nazwa górzysta a ptactwo po dziś dzień lubi tam przebywać. *Pokurcza* szybkonogie i zażarte, wspierały Litwina walczącego z misiem, żubrem, wilkiem, dzikiem a za łosiem, jeleniem, goniącego w swych kurpiołkach lekutkich, których nazwa pozostała w górach, jako i na osadach mazowieckich.

Puszcze.

I. *Beskidy żywieckie:*

1. Magurka, wzgórze na lewym brzegu Soły, od wysokości Kęt aż po Żywiec stary z wirchami: Magurka 478 sągów wiedeńskich *) od południa, a Hrabacą 434 od północy. Dokoła osady: Bujaków, Kozy, Lipnik, Leszczyny, Wilkowce, Czernichów i znowu Lipnik. Cała puszcza zajmuje ze 2 mile kwadratowe.

Grzbiet łęku Wilkowce, łączy Magurkę z Magurą Beskidu.

Beskid (Przechył od bez-przez i kinąć, kinutysia, perekid... rozumie się: wody, znaczy to samo co „dział wodny“ lecz jest wyrazem bardzo starodawnym, poświadczającym jednoplemienność ludu górskiego od Szląska aż po Siedmiogród) zachodni, z którego wypływa Wisła pół wieńcem od Węgier, otacza źródliska Soły, które niegdyś tworząc jezioro Żywieckie, osadziły namuliska bujne, późniejszej równi Żywieckiej przerzniętej upływowem korytem Soły. Żywieczczyzna ta okolona górami najpodobniejsza Sądeczczyźnie i równy obydwom początek. Dziś jeszcze Beskidy Żywieckie z Magurą i Magurką stanowią puszcze nielada.

2. Magura, wirchem Wilkowiec 220.3 połączona z Magurką rzeczoną, ubocze łęku swego okryte ma „borem Wilkowskim“, podczas gdy w dolinie potoka Żylca-Żywca, leży wieś „Buczkowice“. Borem okryte wirchy jéj: Magura 575.6, Klimczak 587.4, Skrzeczna 659.1, Barania 639.6, Krzczyna 534.1 łącząc się z Beskidkiem 399.3 szląskim, otaczają źródliska Wisły, podczas gdy dalszy ciąg południowy z wirchem Magura 562.7, u Holi Ruczej 650.7, łączy się z Beskidem głównym orawskim.

3. Beskid orawski, nad źródłami Rycerki i Przysłopu potoków, ma wirch Rycerzowa 635.7, Przystop; poczem ku północy dąży Jaworówka, Smerek, Niedźwiedzica, Buczyna (orawska), Jastrzębi wirch, Lipowska 697.2 aż do Romanki 720.2 i Pilska 819.3, za którym szczytem Beskid zniżając się do 485.9 stanowi łęk z Babią górą.

Podnóżem Beskidu polskiego, od Wilkowieckiego wirchu kręgiem idą nazwy: Bukowice, Kalonka potok, Lipowa wirch 490.1, a za nim Doliny z potokiem, Brzeziny, Kamiesznica pod Baranią małą 346.9, Kiczorka mała 420.4, Radzicka hala i Żabnica potok. Środkiem zaś w tym wieńcu leży Żywiec grójec i miasto, otoczone Łodygowicami, Kalną, Zabłociem, Wieprzem, Trzebinią, Ciscem, Żabnicą, Swinną, Sporyszem, Rychwałdem, Moszczannicą.

*) Wysokość gór wszędzie w sągach wiedeńskich podana.

Jedynym prawie śladem wieków minionych są po górach i puszczach nazwy wód, kniei i gór, zaczem idą osady, które w wiekach sławy przybierają miano swych założycieli. Nazwy te, a gdzieniegdzie jaki pniak zakamieniały lub niedognity, jaki kościotrup niezbutwiały do szczętu, oto cały trop! cały ślad przeszłości uzupełniony wzmiankami skąpemi dziejów pisanych.

Z powyż wypowiedzianego dałoby się rzec o Żywieczczyźnie.

Że grójec Żywiecki t. j. twierdzę, zakładano w pośrodku puszczy ogromnej, środkiem równej, w około uwieńczonej górami, nad rzeką Sołą; w pobliżu potoków błotnych i dolin kalnych (kalawą podziśdzień zwie lud błoto), pokrytych gajmi bukowemi i dąbrowami, w których cieniu trzody wieprzów żywiły się bukwią, żołędzią i łodygami roślin błotnych... Powyż grójca, na namulisku bujnem rósł bór cisowy, który najpierw wytrzebiono... Potoki i doliny tworzyły żabieńce... Ubocza ukrywały lipiny, jaworza, bugaje i smerekowce, sięgając wirchów Bieszczadu i Magur, kędy panował bór, a w borze przystop ptasi i Radzicha-hala, radosne miesce wypoczynku.

W lesie i w boru, prócz wieprzy były mateczniki niedźwiedzia stałego, drużby świń dzikich, żywiącego się bukwią, żołędzią z nimi zarówno, ale też i mięsem. Wilcy uganiali się za kozami, czy to za dzikiemi, czy to za sarnami, a w końcu za baranami, gdy najprzód nad źródłami Wisły osiedli skotopasy. Nad tem wszystkiem, po skalistych wirchach gnieździły się jastrzębie, a pod nimi w szczelinach cienkowłose pilchy. Z uboczy naiwyższych: głębieńce, potoki, sopoty i sopotnice, wydawały mgły dżdżyste, jako lud mówi: „pociły się góry“ a wytwarzając deszcze, żywiły wilgoć Żywieczczyzny. Sama wilgotność tego obszernego jeziorzyska, świadczy o konieczności bujnej roślinności, tak wysoko- jako i niskopiennej. Dopiero po ogołoceniu gór i podgórz wyschły cieniste zioła, wyschły trawy, mchy, oschła Żywieczczyzna, oschło całe podgórze Oświecimskie, słynne z stawów i rybników.

Żywiec mnogością trzody chlewnej *(Saubusch)* r. 1474 Komorowskiemu nadany, wabił na mieszkanie Niemce właśnie gwoli onego żeru trzodzie obfitego.

II. *Czaniec!* Na prawym brzegu Soły, powyżej Kęt a poniżej Żywca w półkołu wypukłem ku południowi, przez 3 mile okładem, aż po rzekę Skawę, ciągnie się ta puszcza szeroka $1\frac{1}{2}$ mili w przecięciu. I tutaj Beskid stanowi rdzeń puszczy górzystej, zwanej Beskidem. Jeżeli „bie“ jest owem prastarem: wielkie, toćby to lud wcale nie źle nazwał „wielkim działem“. Idąc równolegle z Beskidem węgierskim sprawdza przysłowie ruskie: „Beskidu zelenyi w try rjady stawlenyi“.

Na zachód od Soły wypływające potoki: Puszcza wielka i puszcza mała, nie pozostawiają wątpliwości czem była ta część Beskidu, którego wirch północny Szronka 380.2, powyż Czańca ma Bukowiec i Bukowski gon w puszczy wielkiej, a Kiczora 434.7, w puszczy małej, ma u podnóża Kozubnik nad Sołą.

Główny Beskid z przyłękiem południowym 451.8, ciągnie się ku wschodowi wirchami Kocierz 460.2, Łamna skała 488.9 z przyłękami ku północy, Jawornicą 436.2 i Koceniem 360.9 ku południowi; Bieskid 483.2 z przyłękiem północnym Gańczar 419.5 i potokiem Madej, którego znaczenie wojenne fenickie — jako się okaże niżej. Od Gańczara na północ bagniste podgórze jego rozciąga się od

Inwałdu, podsycając źródła potoczka Bobrzku, który wpływa do Wieprzówki.

Wschodnia Beskidu część zniżając się w lewy brzeg Skawy, wylewa w nią potoki: Tarnawkę, Jaszczurówkę, Jamnik, Koziec, Dąbrówkę i Swinną.

Żeremle więc bobrowe od Powiśla (gdzie naprzeciw ujścia Soły: Bobrownik i Bobrek) jeziorzyskami obu Osieków i Witkowic, ciągły się po Kąty i Wieprzówkę w potoki i rzeki płynące pod paciep z Bieskidu, którego knieje nadbrzeżne są błotniste, od Soły bukowe do Skawy dębowe, podczas gdy paciep z mnóstwem rzek i potoków wykazuje Jawornicę dosięgającą wirchów Bieskidu. Od południa obsuszne ubocza skaliste, darniną zarosłe kotom (żbikom) dostarczają pieleszy; a po nad Skawą kozy górami, a dołem jamniki (jaźwce); zaś dąbrowami świnie, poniżej osady Mucharz, gdzie w XIV w. już stał kościoł, zdaje się że od Muchy (Muskaty) biskupa rodem ślęzaka, wystawiony, który może ztąd (ówcześnie księztwa Oświecimskiego) rodem, osadą i kościołem przyozdabiał pielesze swoje. Puszczą główną, prawdopodobnie bór z mieszkańcy swemi, do których trudno niepoliczyć rozgłośnego zbójcę Madeja, na wirchu Gańczarze po nad potokiem Madej, zkąd swobodny miał przyskok w bogate bogatych żeremle bobrowe i równie obfite w wszelkie dostatki; zkąd panował nad jednym w tej okolicy przesmykiem Podhale i Węgry, a w razie potrzeby w Bieskidu wirchach i puszczach a ztąd aż na Babiej górze, Beskidzie i Gorczu miał schronienie ubezpieczone i zimowisko, w osadach górskich zimą niedostępnych. Prócz zbójców, wilków i niedźwiedzi, owych zwykłych gór obywateli, wirch i potok znakomity Kocierz; a szeroce rozsiane nazwy: Kocoń, Kocur, Kocurek i t. p. naprowadzają na dzikie koty. Położenie potemu, bo ubocz dzika i skalista ku południowemu obrócona ciepłu. Kota dzikiego lud górski najwyraźniej zwie zdebem albo zbikiem. Nawet o domowych starych kotach mówi lud: że zdebieją i idą w las. Mianem „debra zdeba" Bikowice, Biczyce (Kattersdorf), oznaczył lud knieje zdebów i zbików.

Ryś-ostrowidz, po dziś dzień w górach znachodzony (w Schönbrunn pod Wiedniem w zwierzyńcu obecnie znajdują się 3 rysie ułowione w lasach Tylmanowej w sąsiedztwie Szczawnicy), on jeden miałby po sobie nie pozostawić śladu? Trudno przypuścić! prawdopodobniejsza: że słysząc jego warczenie kocie, a widząc spinanie się na drzewa i skakanie na zdobycz, lud po prostu zwał go Kocurem t. j. kotem wielkim, a knieję jego pieleszną Kocierzem, Kamesznicą z litewska od *kamsztys:* ryś.

O rysiach przyjdzie nam jeszcze pomówić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z myśliwskiej przeszłości Wołynia

skreślił

Józef Dunin hr. Karwicki.

(Dokończenie.)

Dawniej za czasów zależności włościańskiej, zmuszano młodych gajowych do ćwiczenia się w tem rzemiośle, i zaiste na tem źle nie wychodzili, bo gdy się polowanie świetnie udało, i gdy wyciągnięto z kniei kilkanaście wilków, to bogaci goście sypali srebrnymi rublami, ba nawet złotymi dukatami. Sztuka to bowiem nie lada; ten co wabi na samca, nie zawabi na samicę, inny znowu wabi na szczenięta i naśladuje do złudzenia ich harkotanie w gnieździe, gdy się nad kośćmi gryzą, dość powiedzieć, że same te chytre bestye myślą, iż to ich własne dzieci. Dla tego chcąc należycie odwabić gniazdo wilcze, trzeba mieć trzech a co najmniej dwóch strzelców wabiących, każdy innym głosem, z dodaniem im do pomocy kilku dobrej woli myśliwych. Ci rozstawiają się na podsłuchy w kilku miejscach pod lasem, w którym gniazda spodziewać się można, i muszą się zachować nader ostrożnie, aby wilków nie przepłoszyć. O zachodzie słońca, strzelcy wabią pierwszy raz krótko, drugi raz przeciągle o północy, wtedy najczęściej odzywają się same zgłodniałe szczenięta, bo stare wyszły na żer. Czasami też razem z młodymi odwabi się jałowa suka, jakaś ciotka lub niańka, pozostająca na straży przy gnieździe. Lecz najważniejsza próba odbywa się na jakąś godzinę przed wschodem słońca, gdy stare ze zdobyczą wracają do gniazda i rozdzielają ją pomiędzy młodych. Wtedy rozlega się po rosie grube basowe trąbienie samca, kontraltowy głos starej suki, cieszącej się z apetytu potomstwa, tenory młodych wilków przeszłorocznych, jeżeli w miocie pozostali i wesołe skomlenie szczeniąt zagryzających się pomiędzy sobą. Bywałem nie raz na takiem odwabianiu i całonocne niewygodne czuwanie w lesie (gdyż należy się nadzwyczaj cicho i ostrożnie zachować i broń Boże nie palić mimo gryzienia strasznego komarów) stokrotnie wynagrodzone bywało tym doniosłym i dzikim koncertem, od którego nie jednemu włosy na głowie ze strachu powstają. A jednak nie ma w tem najmniejszego niebezpieczeństwa, idzie się zawsze bez broni palnej, aby nie wzięła chętka wypalić do stojącej o kilkakanaście kroków bestyi; wilki bowiem w jesieni są strasznie tchórzliwe tak, że na najmniejszy szelest zmykają jak postrzelone. Groźnymi się tylko stają w czasie cieczki od 8. Grudnia, Narodzenia M. B. do 2. Lutego N. Panny Gromnicznej, wtedy włóczą się gromadami i są bardzo śmiałe. Wabienie takie jest bardzo utrudzające, trzeba je powtarzać przez kilka nocy w miejscu, gdzie się najlepiej odzywają. Ludzie siedzący na podsłuchach, powinni znać doskonale miejscowość i wagę miotu i z wilczego trąbienia miarkować, jak knieję obciągać sieciami i jak myśliwych rozstawić, jedno odezwanie nic nie znaczy, gdyż wilki mogą być przechodnie a nie gniazdowe. Doświadczeni strzelcy, wprawni do wabienia to jest jak powiadają idący na wabca, nad rankiem słuchają z uwagą raportów tych, którzy byli na podsłuchach, gdyż sami wabiąc w gąszczy leśnej, nie wiele mogą zmiarkować o pozycyi samego gniazda, bo echo w parowach leśnych fałszywie się odbija, dopiero na skraju lasu trąbienie wilcze staje się zupełnie wyraźnem. Zdarzało się mnie parę razy, że gdy mój doświadczony strzelec Bartmański ze starym gajowym Hryćkiem Ułasiukiem odwabili gniazdo w kniei Córkowskiej, zkąd co roku po kilkanaście wilków wyciągaliśmy z sieci, to znając już doskonale miejscowość, nie schodzili ze sta-

*

nowiska o wczesnym świcie, lecz czekali chwili, gdy najedzone wilki z całem swem potomstwem szły do wody, aby po obżarciu się ugasić pragnienie i zaledz spokojnie w gnieździe. Zdaje się, że więcej od myśliwych wymagać niepodobna, i że to jest istny tryumf rozumu i doświadczenia ludzkiego nad wrodzonym instynktem tych chytrych szkodników. Jakże więc po takiem obliczeniu zwierzyny nie miało się udać polowanie? Udawało się też zawsze znakomicie i nigdy mi się nie zdarzyło, aby wilków w gnieździe nie zastać. Wychodziły zwykle na strzał i tryumf zależał już tylko od trafności strzałów zaproszonych gości. Lecz odwabiwszy należycie wilki i przekonawszy się przez kilka nocy, że się odzywają w jednem i tem samem miejscu, nie należy sądzić, że jest to już koniec uciążliwej pracy. To są jakby podjazdy przedniej straży dla obliczenia sił nieprzyjaciela, a sama kampania ma się dopiero rozpocząć. Łowczy Bartmański przysyłał mi zwykle gajowego z ustnym raportem a sam z podwładnymi zostawał na straży, aby broń Boże nie dopuścić nikogo do lasu po jagody, grzyby lub dla pasienia bydła, bo byle tylko ktoś wetknął się na same legowisko, wilki z pewnością ruszą z miejsca i całą mozolną pracę diabli biorą. Zdarzało się to niestety parę razy w mej długoletniej praktyce wilczych polowań. Po odebraniu takiego raportu uwiadamiałem sąsiadów i rozsyłałem zwykle konnych posłańców do okolicznych gmin, aby tylu a tylu ludzi ze wsi, uzbrojonych w drągi i siekiery, stawiło się nazajutrz o świcie w naznaczonem uroczysku pod lasem, zwykle dość daleko od samego gniazda, aby wilków nie spłoszyć. Furmanki fornalskie i włościańskie miały jeszcze z wieczora zajeżdżać do dworu, dla naładowania sieci z pociągami t. j. długimi sznurami i w nocy po cichu dojechać do tego samego uroczyska. Sieci takie są dziś rzeczą bardzo kosztowną. Wysokie na trzy łokcie a każda sztuka ma 50 sążni długości, obciągnięta grubymi sznurami czyli pociągami z góry i z dołu. Przy wydawaniu i zbieraniu sieci z lasu trzeba mieć pilną baczność, bo włościanie nie uwzględniają tego, że tępiąc wilki oddaje się im samym najważniejszą przysługę, gdyż dworski dobytek w polu nie nocuje, korzystają z każdej sposobności, aby te pociągi zeskamotować. Po każdem takiem polowaniu brakło ich kilkanaście i to mnie później zniechęciło do podobnych myśliwskich wypraw. Przyznać jednak należy, że włościanie odebrawszy polecenie ze swej gminy, wychodzą ochotnie na podobne polowanie, czując w tem własną swą korzyść i spodziewając się rozdawania porcyi czyli kwaterki gorzałki. Gdy jednak zbierze się ich kilkaset, można sądzić, jakie to koszta za sobą pociąga u nas, gdzie akcyza od wódki jest tak szalenie wysoka. Dość powiedzieć, że ta rządowa opłata przenosi 9 razy wartość naszego produktu.

Rostawienie sieci jest także rzeczą nie małej wagi i zależy zupełnie od zarządzającego polowaniem. Najlepiej jest miot krótko obciąć tak, żeby go całego sieciami otoczyć, lecz nie zawsze miejscowość na to dozwala. Najczęściej knieję w poprzek przecina głęboki parów leśny, a na najniedostępniejszem miejscu zwykle pod wywrotem starego dębu lub lipy znajduje się same gniazdo. Przestrzeń nie zamkniętą sieciami wypada w takim razie gęsto obstawić ludźmi, którzy powinni z początku zachować największą cichość, a później głośno hukać na miejscu, gdy psy i obława ruszą. Zwykle rozstawia się pomiędzy nimi kilku strzelców z bronią nabitą tylko prochem, to jest pustymi strzałami i te mają się odezwać jeden po drugim w pewnych odstępach, gdy gonienie się rozpocznie. Wilki strzału i klaskania z harapa bardziej się boją, jak najgłośniejszego trąbienia. Sieci rozstawiają się na soszkach, ludzie powinni je przedwcześnie wyrąbać, aby stukiem siekier nie płoszyć zwierza w samym miocie. Koło każdej sztuki sieci stawia się trzech ale lepiej jeszcze czterech chłopów z drągami, dając im rozkaz, aby wilki przez siecie nie przepuszczać, a zaplątane zwierzę dobijać drągami i siekierami. I tu bezwzględna cichość jest konieczną, czego się jednak doprosić nie można u włościan, ileż to razy objeżdżając konno przed rozpoczęciem polowania rozstawione sieci, spędzałem ludzi leżących na ziemi i palących spokojnie swe fajeczki, a wiadomo jak dym po lesie daleko się rozchodzi. Następuje najważniejszy akt tego dramatu, to jest rozstawianie samych strzelców. O tem nie mam potrzeby się rozpisywać, bo wszędzie ma jednakowe cechy. Naturalnie że trzeba uważać na wiatr, gdyż wilki mają węch niesłychany, i na wagę samego lasu, t. j. na miejsce którem wilki zwykły z miotu wychodzić, o czem najlepiej sądzić może myśliwy wabiący ich i śledzący za nimi podczas tylu nocy. W tem też mój stary Bartmański rzadko kiedy się omylił i ze zwykłą dozą myśliwskiej fanfaronady rozstawiał gości i dowodnych strzelców na lepszych stanowiskach, zapowiadając do czego będą strzelać. Zapowiadano każdemu, ile będzie pustych strzałów w miocie za obławą, poczem dopiero pierwszy strzał do wilka, a choćby zając, lis lub kozioł stanął na końcu lufy, strzelać nie wolno. To podług mnie jest abecadłem rzemiosła, bo nierozważny strzał taki, może zepsuć całe polowanie, tak mozolnie przygotowywane.

Gdy już wszyscy strzelcy są na swych stanowiskach, za danym znakiem w trąbkę odzywa się obława, postępując powoli; rozlegają się za nią te puste strzały, które każdy liczy z bijącem sercem, słychać trzaskanie harapów i nawoływanie dojeżdżaczy, szurujących konno po kniei, gdzieniegdzie zławianie się gończych i każdy z wytężonem okiem i z palcem na cynglu wpatruje się w gąszcz leśną. Nareszcie daje się słyszeć naszczekiwanie jednego, drugiego i trzeciego psa, później ich raźne gonienie, zupełnie odmienne od gonienia zająca, lisa lub kozła i dla myśliwego nastaje chwila rozkosznego oczekiwania, ożywiona harmonią tak miłą dla każdego zwolennika św. Huberta. Padł jeden strzał, później drugi, trzeci, gałęzie się poruszają i wypada wilczysko strwożone z błyszczącem zielonawem ślepiem, które ugodzone w komorę rozciąga się u stóp szczęśliwego myśliwego. Powinien on jednak spieszyć z nabijaniem broni, bo widać że wilki tędy złożyły i za staremi wnet ukażą się szczenięta, które popłoszone plącząc się po kniei, wpadają w sieci tak, że już w kilku miejscach słychać jak ich dobijają drągami. Włościanie przytem wypominają im z głośnem przekleństwem poduszone konie, jałówki, źrebięta etc. etc. W kniei coraz weselej, strzały rozlegają się w prawo i w lewo, już je trudno obliczyć, psy gończe zawzięcie gonią znajdując po krzakach rozpłoszone szczenięta, bo stare naprzód się zwykle wymykają i już padły pod strzałami, albo potrafiły się przebić przez siecie, gdzie głupsi włościanie ze strachu je przepuścili. Padło jeszcze kilka strzałów w jednem miejscu, wyraźnie dobijają zwierza, słychać wesołe nawoływania myśliwych Nareszcie odzywa się huczne trąbienie na pojezdnego, to stary Bartmański całą siłą swych płuc ogłasza

swój tryumf, bo też rzeczywiście jest go za co pochwalić! Trzy stare wilki i sześcioro młodych wyciągnięto z kniei, a jedną jałową sukę, która się przebiła przez sieci, dobito w sosninie nad traktem pocztowym, gdzie zaległa myśląc ujść od zniszczenia całego gniazda. Wszyscy goście do niej kolejno strzelali.

Następuje huczne śniadanie myśliwskie na polance pod lasem. Nie ma końca opowiadaniom i przechwałkom myśliwskim. Gospodarz proponuje kieliszek starki na potrupnego, z pieczonym kapuścianym pirożkiem, wonny bigos hultajski z kiełbasą, tradycyjne zrazy zawijane z obwarzaną kaszą hreczaną, znaną tylko na Wołyniu, znikają w okamgnieniu, krąży domorosłe piwo z własnego browaru, dla *honoratiores* znajdzie się lampka miodu lub wytrawnego zieleniaku. Reszta strzelców *minorum gentium* raczy się z obficie napełnionych rądlów, odgrzewanych przy olbrzymiem ognisku, a włościanom rozdaje straż leśna z blaszanej czarki prostą siwuchę, ich najmilszy przysmak, ustawiając ich w długą kolumnę, to jest w ławę jak oni nazywają. Trzeba przytem pilnie przestrzegać porządku, bo lud tutejszy strasznie łasy na tę wodę życia i gdyby nie pilne oko pobereżników, to by wielu przełknąwszy jednę czarkę na prawem skrzydle, przebiegali na lewe po drugą i tak bez końca. Zwykle się też tak dzieje, bo z takiego polowania włościanie wracają w różowych humorach i dziwnie rozmarzeni. Jest to jednak jedyny środek, zachęcający ich do tej społecznej posługi.

Nie trzeba sądzić, że do gonienia wilków w miocie należy mieć osobny gatunek ogarów. Pies w ogóle wilka się boi, lecz też instynktowo go nie cierpi. Każdy dobry gończy wilka pogoni, jeżeli go tylko stary pies ośmieli, a młode doskonale układają się przy starych sforach. Sam miałem w psiarni młodą suczkę Szperkę podżaro-popielatą, która doskonale już goniła inne rodzaje zwierza, lecz na pierwszem wilczem polowaniu wpadłszy na ich trop, uciekła ze skomleniem, wziąwszy ogon pod siebie. Jakież było moje zdziwienie, gdy w późnej jesieni strzeliwszy do ogromnej wilczycy po drugiej stronie głębokiego i niedostępnego prawie jaru i widząc, że się jeszcze podnosi i stara się skryć w krzakach, zacząłem trąbić i nawoływać na gończe. Wypadły one z kniei, zaczęły nieśmiało atakować wilczycę, lecz ta siadłszy na zadnich łapach, kłapiąc zębami odgryzała się od całej psiarni, byłem więc pewny, że ujdzie, choć silnie farbowała. Wtem Kuc prosty podwórzowy kundys faworyt całego dworu, z gatunku psów wołoskich, gdyż się rodził u mnie w obozie w 1854 r. w czasie oblężenia Silistryi, mający przytem dziwnie rozwinięty instynkt myśliwski, usłyszawszy moje nawoływanie, zrywa się od rądli przy ognisku kuchennem, którym asystował przy bryczce od samego domu, śmiało w mych oczach rzuca się do gardła wilczycy i zaczyna ją wściekle dusić. Młoda Szperka dotąd tak tchórzliwa, zagrzana przykładem, dzielnie dopomaga poczciwemu Kucowi i od tego czasu stała się pierwszą suką gończą do wilczego polowania; cienki jej dyszkant nigdy nie zawodził i po nim sądzić można było o obrotach w kniei całego wilczego miotu.

Dodać jeszcze muszę, że po wybiciu całego gniazda chodziłem nie raz opatrywać ich legowisko w lesie. Nic w tem nie ma bardzo ciekawego, lecz daje ono wyobrażenie o spustoszeniach tych rabusiów i o tem, jaki to ogromny haracz musi znosić cała okolica dla wyżywienia tego miłego pokolenia. Stosy kości poobgryzanych, sierści różnych zwierząt, a nawet i pierze ptactwa domowego, leżą tu porozrzucane, co wszystko wydaje nieznośny fetor. Suka zaś zwykle wywodzi swe szczenięta, jak mówiłem wyżej, w dziuple drzewnem, gdzie im miękkie posłanie sierścią, pierzem i liściem uściela. Źle robią ci, którzy w początku lata wypatrzywszy podobne gniazdo, zabierają małe szczenięta w nieobecności matki. Rodzice później okrutnie mszczą się na całej okolicy, gdy przeciwnie dowiedzionem jest, że wilki nie robią szkody w bliskości swego gniazda, jakby chcąc przez to zabezpieczyć sobie opiekę miejscowej ludności. Najstosowniej więc jest doczekać się połowy lub ostatnich dni Sierpnia i wydusić całe gniazdo to jest stare, młode i jałowe wilki znajdujące się w jednej kompanii, odwabiwszy je starannie, jak to wyżej opisałem. Zdarza się też czasem, że wyciągaliśmy z jednej kniei starsze i młodsze szczenięta to jest spore psiuki jak zwykłe psy podwórzowe i inne daleko mniejsze. To dowodzi, że dwie suki oszczeniły się w jednym ostępie leśnym, znalazłszy go nader dogodnym i w bliskości obrały swe legowisko. Lecz w takim razie muszą być i dwa samce, gdyż wilk jak dobry ojciec familii dba o wyżywienie swych dzieci, póki one nie odejdą od matki po zupełnem opadnięciu liści. Jałowe suki, które mnie się zdarzyło w gnieździe zastawać, zrodzone były zwykle w przeszłym roku i nie znalazłszy sobie pary zimą, pozostawały przy gnieździe na straży młodego pokolenia. Charakterystycznem jest to, że nigdy nie słyszałem, aby w gnieździe znajdował się nadetatowy młody samiec.

Opisać jeszcze muszę jeden epizod wilczego polowania, który oddaję pod sąd doświadczonych myśliwych, z góry ręcząc za jego prawdziwość. Mieliśmy jednej jesieni odwabiony i doskonale obcięty miot wilczy, w bliskości Mizocza, w niedostępnych jarach pomiędzy Córkowem i Uizdcami, gdzie już nie raz polowanie nam się ślicznie udawało. Miejsce więc było doskonale znajome mej straży leśnej i nie było obawy, aby źle strzelców rozstawiono. Lecz gdy tylko stanęliśmy na stanowiskach przed odezwaniem się jeszcze obławy i dojeżdżaczy zaprowadzających psy, usłyszeliśmy ku wielkiemu zdziwieniu wabienie się wilków, z początku szczeniąt, a później głosy samicy i samca. Dzień był pogodny na wpół słoneczny i dziwnie się odbijało po rosie porannej to wilcze trąbienie o kilkadziesiąt zaledwie kroków od linii strzelców. W pierwszej chwili myślałem, że mój stary Bartmański ruszywszy rogatym konceptem, zakradł się do kniei i wabi sobie w najlepsze. Nie pojmowałem jego zamiaru, nie mogłem go posądzać o pijaństwo, bo nigdy w życiu kropli wódki nie wziął do ust, ani o chęć zepsucia polowania, tak mozolnie przez niego przygotowanego, bo i jego poczciwość była mi dostatecznie znaną, wreszcie gubiłem się w domysłach, chcąc to złożyć na karb tak doświadczonego jak on myśliwego. Lecz wiedząc dobrze, że on wabi tylko na samicę, wpadłem na domysł, że musiał wziąć do kniei swego pomocnika Hrycka Ułasiuka lub drugiego pobereźnika Danyłka, bo wyraźnie słyszałem odwabianie się z początku szczeniąt, a później samca. Lecz spojrzawszy mimowolnie na prawo, osłupiałem ze zdziwienia, widząc starego Bartmańskiego z palcem na cynglu w postaci nieruchomej, lecz okazującego mnie na twarzy swoje zdziwienie. Dość że strzały się rozległy w obławie, a później na linii strzelców, kilka wilków już padło, ja sam ubiłem wtedy ogromną sukę i dwoje sporych szczeniąt, mój sąsiad na stanowisku strzelał także

celnie, a reszta wilków wciąż się wabiła, ogłuszając echo leśne swem ponurem trąbieniem. Kilka ich przebiło się przez sieci, lecz polowanie doskonale się udało, bo ile pomnę, wyciągnęliśmy w tym dniu z kniei ośm czy dziesięć sztuk. Jak to sobie tłumaczyć, nie rozumiem dotąd, przytaczam tylko fakt, którego byłem naocznym świadkiem.

Polowanie więc na wilki z odwabianiem i sieciami jest także jednym z ostatnich zabytków wielkopańskiego łowiectwa na Wołyniu, dziś możebne jest tylko przy wielkich i starych dworach, mających do tego uzdolnionych ludzi. Lecz jak ci wymrą, ustanie i ta myśliwska tradycya.

MYŚLIWSTWO W SYBERYI

Wspomnienia z tajgi Jenisejskiej.

PRZEZ

Dra JANA JODŁOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Gdy się Tunguzi dowiedzą, gdzie żeruje lub przebywa niedźwiedź, udają się tam i odszukują go bardzo łatwo, byle jeden ślad świeży spostrzegli. Pieski w tem trochę tylko pomagają, bo nie pozwalają im przeszkadzać ni w uczcie ni w śnie poważnemu panu, podchodzą sami budzą go, gdy spi, zazwyczaj strzałą wypuszczoną z łuku. Niedźwiedź drażnięty niemile, ze snu zbudzony, robi kilka susów w przeciwną stronę, wtedy psiny występują na scenę, rwą się do niego, starając się dobrać do służby okrętowej Toptygina, o której całość znów jemu wiele chodzi, bo czując grożące jej niebezpieczeństwo, ciągle przysiada, wówczas Tunguz podbiegłszy bliżej wypuszcza znów strzałę, czem jeszcze więcej rozdrażnia niedźwiedzia tak, że zapomniawszy o czteronogim, rzuca się na dwunogiego wroga. Gdy się zbliży w susie i podejmie na dyby, wówczas Tunguz podstawia palmę, trzymając bacznie koniec drzewca przy ziemi, zadaje pchnięcie w klatkę piersiową, starając się wbić grot na płask w okolicę serca, a znają ją dokładnie bez studiów anatomicznych. Niedźwiedź ugodzony nigdy się nie cofa, lecz sam napiera na palmę, sięgając łapami wroga, który zgięty, trzymając oburącz koniec drzewca palmy tuż przy ziemi, robi nim poziome wahadłowe ruchy. Klocek mały poprzecznie przywiązany u nasady grotu, nie pozwala wejść głębiej palmie w ciało niedźwiedzia, staje się punktem oporu, a przez swe wolne (na sznurku z żył renich) umocowanie, dozwala swobodnych ruchów grotowi, przy poziomych ruchach drzewca, przecinającemu napotkane organa. Walka trwa krótko i bardzo rzadko Tunguz wychodzi z niej z guzem.

Pozwolą szanowni czytelnicy, iż ośmielę się podać parę wypadków prawdziwych, jakie się wydarzyły przed lub podczas mego pobytu na Syberyi, niespodzianych spotkań z niedźwiedziem. W roku 1862. pan T. komendant oddziału kozaków, był wysłany jak to się dzieje corocznie, do kopalń złota, dla dozoru ze strony rządu. Człowiek odważny bardzo i śmiały, prawdziwy potomek zaporożców przeniesionych na Don, a następnie odkomenderowany w Sybirskie oddziały kozackie, wracał konno z tajgi z jednym tylko kozakiem. Pomiędzy stacyami Pitem a Czorną, gdy upał dokuczał i zmęczeni byli jazdą, zatrzymali się chwilę dla odpoczynku. Zsiadłszy z konia T. położył się na ziemi, kozak zaś pozostał o kilkanaście kroków przy koniach i nagle posłyszał chrzęst łamiących się gałęzi, a z gąszcza tajożnego pokazała się poważna postać wielkiego taptygina zwabionego potem koni i zmierzającego wprost do nich. T. zerwał się i wyciągnąwszy pistolet z za pasa, strzelił, kula strzaskała niedźwiedziowi kość prawej przedniej łapy tuż przy łopatce, pomimo tego zwierz rzuca się na nieprzyjaciela. T. nie mając nabitej broni chwyta go silnie za język i tak trzymając boryka się z nim. Kozak przerażony zmyka w tajgę, ale na głos komendy powraca i cały drżący podaje na rozkaz pistolety z olster. Trwało to dość krótką chwilkę, lecz i ta wystarczyła, by Misio zdrową lewą łapą porozdzierał mięśnie lewej ręki odważnego i przytomnego oficera. Z podanego pistoletu, T. kładzie trupem niedźwiedzia, lecz i sam pada nań zemdlony, wycieńczony wysiłkiem, ubytkiem krwi i bólem. Kozak oprzytomniawszy, widząc już zabitego niedźwiedzia, trzeźwi swego pana, wspólnie opatrują rany i puszczają się w dalszą drogę do stacyi, zkąd na noszach pomiędzy końmi odbyto resztę podróży do miasta. T. przeleżał parę miesięcy, niedźwiedź zostawił mu pamiątkę na całe życie, bo ręka została skurczona i z słabą władzą. Na pociechę, pozostała skóra niedźwiedzia pod nogi przy łożu.

Nie tak tragiczny wypadek opowiadał mi gospodarz wiejski, gdzie zamieszkiwałem. Na parę lat przed mojem przybyciem na miejsce wygnania, latem udał się on w tajgę konno, bez broni, tylko z toporem za pasem, na lichej bardzo szkapinie. Odjechawszy z 10 wiorst od wsi, konik idąc powoli, nagle stanął, wtem z boku drożyny o kilkanaście kroków przed nim, wychodzi niedźwiedzica, mały niedźwiadek i piastun. Szkapa ze strachu przewróciła się, przycisnąwszy sobą również wylękłego człowieka. Niedźwiedzica podeszła do leżących, pomruczała nad nimi i napluła w twarz człowiekowi, następnie odwróciła się do dziecka i piastuna a ponieważ po drugiej stronie dróżki był parów dość głęboki, a nad nim wykrota, sięgająca drugiego brzegu, popchnęła dziecko na wykrotę, sama zaś wróciła, przypatrzyła się leżącym i powtórzyła operacyą z człowiekiem. W trakcie tego malec doszedłszy do połowy wykroty, gdy mu sęk jakiś stanął na przeszkodzie, a może z grymasu wydał głos, matka podskoczyła do wykroty, a zastawszy przy niej jeszcze po tej stronie piastuna, wycięła mu silny policzek, poczem tenże wskoczył na wykrotę i przeniósł niesfornego wychowańca. Niedźwiedzica udała się na drugą stronę parowu za nimi, tam podsadziła dziecko na drzewo, a gdy to nie chciało się drapać, odebrało klapsa od niefolgującej a troskliwej o jego bezpieczeństwo mamy. Znów wróciła do połowy wykroty, a widząc, że leżący tchórze nie mają żadnych przeciw cnej familii zbrodniczych zamiarów, kazała zejść z drzewa dziecku i szanowna trójka udała się w dalszą drogę, zostawiając leżących jeszcze człowieka

i konia w spokoju. Odtąd oplwany przez niedźwiedzicę bohater był często przedmiotem żartów mieszkańców wioski, czego nie raz byłem świadkiem.

Jeszcze jeden wypadek, którego byłem naocznym widzem. W pierwszych dniach sierpnia przypędzają do kopalń bydło na rzeź. Początkowo biją tylko tyle, ile potrzeba dla żywności, później zabijają resztę, solą w kadziach na zapas wiosenny i letni. Wtedy to niedźwiedzie krążą w około zwabione zapachem krwi. Pewnego dnia, gdy już wiele sztuk bydła ubito, zasolono i jednocześnie w wielkim kotle topiono łój na wolnem powietrzu, o jakie 300 do 400 kroków od kopalni. W południową porę, kiedy robotnicy udali się na obiad i zostawili wielki kocioł napełniony łojem roztopionym, zawieszony nad ogniskiem, znęcony zapachem łoju wysunął się z tajgi Misio, podszedł do kotła, lecz dostęp doń był niemożebny, ponieważ toptygin bosy a ognisko szerokie, pomyślał zapewne nad tem i znalazł sposób. O kilkanaście kroków od ogniska płynęła rzeczka, dowcipny Miszko włazi do wody, zanurza się po szyję, wychodzi z kąpieli i dąży wprost do ogniska, nad którem wytrząsa zmoczone kudły, powtarzając tę czynność kilkakrotnie, zawsze jednak z tejże samej strony, coraz bardziej zbliża się do kotła na tylnych łapach. Już łyka ślinkę na smaczny tłuszcz, lecz jakże strasznie zawiedziony został w nadziei; trochę za nagle i niezgrabnie zabrał się do dzieła, oparłszy bowiem łapki na brzegu kotła, gdy już miał się delektować, pocisnąwszy takowy nachyla i wylewa sporą ilość roztopionego a bardzo gorącego łoju na siebie, parząc się najokropniej na całej powierzchni ciała zwróconej do kotła, zacząwszy od szyi. Nieszczęśliwy męczennik zwija się z bólu i ryczy przeraźliwie, po chwili niby przytomnieje, wpada do rzeczki, zanurza się prawie cały i wkrótce ginie rozciągnięty na brzegu. Skóra cała na dolnej powierzchni ciała, gdzie tylko gorący łój doszedł, pozbawioną była włosów i stanowiła ranę jednolitą, dla czego jednak zginął tak nagle, jest zagadką.

Jeszcze ośmielę się nudzić szanownych czytelników dwoma opisami, również prawdziwymi, które wydarzyły się podczas mego pobytu, a z tych w jednym sam byłem aktorem. Sądzę, że podając takowe nie błądzę, zestawienie bowiem wypadków daje pewne pojęcie o zmyślności zwierza a zarazem rzuca światło na rozwój umysłowy mieszkańców, wśród których dzieją się opisywane zdarzenia. Przystępuję do rzeczy. W roku zdaje mi się 1866, gubernator jenisiejskiej gubernii, generał Z. mając przy sobie urzędnika do szczególnych poruczeń, objeżdżał całą gubernię, więc i powiat jenisejski. Po ukończonych czynnościach, gdy wracał do Krasnojarska, swej rezydencyi, jechał czwórką w poręcz, z kozakami na koźle i z tyłu wygodnego tarantasa. Jechał od stacyi do stacyi w pełnym galopie. Nagle konie chrapnęły i zatrzymały się jak wkopane, bo z boku na kilkanaście kroków przed nimi, wysunął się ogromnych rozmiarów Toptygin, usiadł na środku drogi zwrócony do powozu, zapewne pragnął się przyjrzeć dostojnemu generałowi, ubranemu w pełnej formie, ogromnych ciała rozmiarów. Konie drżały, ludzie pozdejmowali czapki, nawet sam pan gubernator i urzędnik do szczególnych poruczeń. Ten objaw uszanowania snać podobał się Miszce i obudził w nim pewne sympatye, poznał może swój swego, dość że zbliżył się powoli do ekwipażu mrucząc (może rozmawiali z sobą dygnitarze), obszedł go do koła kilkakrotnie, co trwało z pół godziny. Woźnica z kozła wygłosił do niego mowę błagalną o przepuszczenie, zdaje się trafiła ona do przekonania toptygina, bo powoli oddalił się w przeciwną wyjścia stronę tajgi. Opowiadał mi tę scenę sam woźnica, powtarzał przemowę i przysięgał na prawdę słów swoich.

Niedźwiedź, według moich spostrzeżeń w kilku wypadkach spotkania z nim, wbrew twierdzeniom tuziemców Sybiraków, gdy się przed nim nie tchórzy i nie ucieka, nie jest straszny, nie rzuca się na ludzi. Może być, iż trafiałem na *plenus venter* szanownych toptyginów, albo nie podrażnionych. A może też nie przedstawiałem swą personą smacznego kąska, sługa Wasz bowiem szanowni czytelnicy był zawsze i jest szczupłym, jasno kościstym, a toptygin, zwykle wybiera ofiary dobrze odżywione, lub widocznie nie czuł do mnie pociągu, bo nigdy nie chciał uścisnąć. Nieszczęśliwe wypadki były najczęściej w odwrocie, zwykle wtedy dogania ofiarę, przytrzymuje i najpierw skalpuje, lepiej od Indian, bo bez ostrych narzędzi, używając do tej operacyi tylko własnych pazurów, zaczepiając niemi o tył głowy zdziera skórę z czaszki i zasłania nią oczy, których widoku nie lubi. Pomimo niezgrabnych ruchów i wolnego chodu, gdy goni upatrzoną zdobycz, jest nader zwinny i szybki tak, że nawet najlepszy koń i to nie zawsze ujść zdoła.

Kilka razy przy szukania jarząbków lub głuszców głębiej w tajdze, zdarzyło mi się niespodzianie spotkać z niedźwiedziem na kilkanaście kroków. Stawałem z odwiedzionymi kurkami u strzelby w pogotowiu trzymanej i starałem się o ile mogłem bystro wpatrywać w nieprzyjaciela, który zawsze przypatrzywszy mi się i mruknąwszy szedł dalej w swoją drogę. Nie strzelałem do niego, ponieważ w obu lufach miewałem śrót drobny a czasem i półnaboje tylko. Raz jeden szedłem ku niemu dobrze przygotowany, wypadek ten opowiem. Około 3ciej z południa załatwiwszy się w szpitalu, gdy mięso solone, które przez całe lato stanowi główne pożywienie, bo innego nie ma, nader się uprzykrzyło, wyszedłem na jarząbki lub młode głuszce. Idąc trzymałem się brzegu rzeczki Kołomy. Zapuściwszy się coraz dalej w tajgę, mniej więcej ośm wiorst, nagle usłyszałem wielki hałas silnego dzwonienia i krzyku kilku ludzi, domyślając się, iż to kocia muzyka wyprawiona toptyginowi za porwanego konia lub wołu, (było to w czasie, gdy do kopalń pędzono bydło) wykręciwszy śrót, wpakowałem kule w lufy, opatrzyłem kominki, nałożyłem nowe pistony i pospieszyłem ile można najprędzej na miejsce, zkąd odzywał się od czasu do czasu dzwonek i głosy ludzi. Tu zastałem zebranych pięciu koniuchów (fornali) i ze 20cia kibitek tj. wozów, naładowanych różnymi zapasami idącej do kopalń kompanii Ostaszowych. Nie daleko bo ze 300 kroków od miejsca gdzie ich spotkałem, wypoczywali, puściwszy konie na łąkę, tam podkradł się bisurman i zadarł poczciwego kasztanka, który skubał trawę najbliżej ściany tajgi, wziął kasztanka w ochabkę i poniósł dalej na łąkę. Bez namysłu drapię się przez wysokie krzaki oddzielające łąkę od drogi, a stanąwszy na drugiej ich stronie, ujrzałem widok taki: w odległości może 200tu kroków złożony kasztanek, a przy jego grzbiecie siedział wygodnie Misio, sparty przedniemi łapami o bok konia, wyrywał z grzbietu kęsy i zajadał. Pozycya dla myśliwego znakomita, lewy bok zwrócony ku mnie, łapa oparta na żebrach tułowia końskiego, a więc komora nie zakryta, maszeruję tedy nie spuszczając oczów z toptigina. Gdym się nieco zbliżył, nie-

dźwiedź urwawszy kawałek mięsa, raczył zwrócić ku mnie swoje oblicze, i zapewne łajał mnie w swym języku, że śmiem przeszkadzać w tak sutej biesiadzie, co objawiało ciągle powtarzane umu — umu — umu, wydobywające się z szerokiej zapchanej koniną paszczy, coraz groźniejszym tonem. Przekonany jestem, iż to nie były wyrazy powitania grzecznego, ani zaprosiny do uczty. Nie zważając na te objawy, miarowym krokiem z bronią w pogotowiu szedłem jak na komendę w niedawnej przeszłości, on tymczasem coraz częściej obzierał się na mnie, a gdym się zbliżył na 40ci kroków odległości, dostrzegłem ruch, jakoby myślał o ustąpieniu z miejsca, składam się, palę i w tej pozycyi zostaję na wypadek potrzeby użycia drugiej kuli w lufie. Po strzale Misio ryknął i runął na wznak. Ileż dla mnie radości! Ale krótką ona była, bo niedźwiedź zerwał się, zrobił trzy susy w stronę przeciwną tj. ku tajdze, zatrzymał się, wydał ryk do jęku podobny i bardzo powoli zagłębił się w gąszcz tajożny. Pospieszyłem na miejsce gdzie padł, znalazłem trochę juchy, dalej w krzakach i na ziemi, gdzie się po skokach zatrzymywał, szczególnie po stronie lewej i za nim juchę spienioną i jeszcze czemś ciemniejszej barwy silnie pokrytą, dalej aż do ściany tajgi, ciągle jucha spieniona znaczyła ślady. Ponieważ już było około 7ej wieczorem a las bardzo gęsty mocno krzakami i wysokiemi trawami podszyty, więc nie odważyłem się puścić w ciemną tajgę, gdyż wiedziałem, że często zdarzało się, iż niedźwiedź uszedłszy, choć ciężko ranny, w podobne gąszcze, gdy go zaraz śledzono, nie dostrzeżony, mścił się okropnie na prześladowcy, pragnąc ujść takiego losu, odłożyłem poszukiwania do dnia następnego. Gdym się zwrócił ku drodze, spostrzegłem bieżących ku mnie koniuchów, rozpatrzywszy ślady potwierdzili moje przekonanie, iż zwierz ciężko ranny i nie należy go natychmiast szukać, że „on i tak dojdzie.“ Przyczem dostała mi się pochwała: „Nu barin wy ni czorta nie boitieś“ a drugi dodał: „cóż dziwnego wied' oni Polak“ co mnie nader ucieszyło. Wróciłem około 10ej w nocy do domu znużony bardzo. W nocy rozbudziła mnie burza, deszcz lał strumieniem prawie do południa. Po obiedzie wybrałem się, wziąwszy ze sobą Tatara, mistrza w obielaniu zwierza, i dwa psy. Przybywszy na miejsce, gdzie biedny kasztanek spoczywał, rzadko gdzie spotykaliśmy juchę, spłukał ją deszcz, więc ostrożnie wskazawszy trop psom zagłębiliśmy się w tajgę, rzeczywiście bardzo gęstą w tem miejscu. Tu łatwiej było śledzić, bo deszcz choć ulewny, nie zdołał zupełnie spłukać zaschłej na trawach i krzewach juchy. Tak uszliśmy przedzierając się gąszczem może 300 kroków. Psy idące blisko przed nami zagłosiły nieco w tej stronie, pospieszamy tam i zastajemy rozciągniętego Miszkę. Z położenia sądząc niedźwiedź padł idąc, chciał się zerwać, czego widoczne były ślady w podrapanej i powyrywanej ziemi w około niego, lecz już był za słaby i wkrótce dojść musiał. Tatar zabrał się do dzieła, w czem i ja mu pomagałem. Po obieleniu badając strzał znaleźliśmy dwa żebra od kuli strzaskane, płuco lewe i worek sercowy przeszyte, koniuszek serca lekko draśnięty na samej powierzchni, dalej kula przebiła prawe płuco, strzaskała żebro jedno i tuż pod samą skórą została. Mierzyłem nieco wyżej, obniżenie pocisku musiało nastąpić albo w skutek wielkości kuli okrągłej, gdyż kaliber strzelby był wielki, albo też uderzenie o żebro zmieniło kierunek, bo żebro prawe było strzaskane o jedno niżej a może i mnie ręka przy strzale drgnęła. Deszcz i gorąco widocznie zaszkodziły skórze, bo bok na którym leżał, przy suszeniu skóry oblazł z kudłów prawie zupełnie.

Na tem kończę opis znanych mi sposobów polowania na niedźwiedzie, starałem się prawdziwe podać, bez fantazyjnych wymysłów, jakie często zdarza się spotykać w opisach nieraz zbyt poetycznych. (D. c. n.)

POGADANKA RYBACKA.

Kiedy już organ naszego „Towarzystwa łowieckiego“ podał rękę rybactwu i ustąpił dla niego niepośledniе miejsce w swem wnętrzu; zasilać go artykułami mającymi styczność z rybactwem jest naszym obowiązkiem. Dwa te zawody myśliwski i rybacki są przecież sobie najbliżej pokrewne. Oba równie niebezpieczne, oba oddającego im się narażają na śmierć lub kalectwo, do obu potrzeba niepośledniego zapasu zdrowia i sił fizycznych, zręczności, cierpliwości, przebiegłości, doświadczenia i wprawy, oba dają czasami chwilę rozkoszy lub rozczarowania. Nie mówię tu o polowaniach w zwierzyńcach i rybowaniach w stawach zarybianych, lecz o wolności i dzikości w naturze. Jak myśliwy musi znać przesmyki i ostoje zwierząt, jak jednym rzutem oka powinien się oryentować, gdzie i jaka zwierzyna stoi lub żeruje, tak też rybak po biegu wody, po sile prądu przy brzegach stromych lub pochyłych musi zdawać sobie sprawę z punktów rybnych, tak jeden jak i drugi ma oczy zawiązane, myli się często i tam gdzie miały być jelenie i niedźwiedzie, znajduje tylko zająca, a w miejscu łososi i szczupaków łowi płocie. Nawet między rybami a zwierzyną da się zrobić trafne porównanie i tak jesiotr odpowiada niedźwiedziowi, sum dzikowi, szczupak wilkowi, sandacz rysiowi, okoń lisowi, łosoś jeleniowi, brzana sarnie, leszcz borsukowi, karp zającowi i t. d. Sieci rybackie i broń myśliwska podlegają również porównaniu: pławaczka sztućcowi, włók strzelbie myśliwskiej, więcierz dołom, sznurki i wędki sidłom, ość kordelasowi, sufota pastkom i t. d. Rybak łowi dniem i nocą, myśliwy również poluje dniem i nocą, jak myślistwo ma swoją zwierzynę przelotną, bawiącą u nas tylko w pewnym czasie jak słonki, niektóre gatunki kaczek, nury; tak też rybactwo ma odpowiadające, jesiotry, wyzy a poczęści i łososie. Myśliwy jeżeli chce być racyonalnym i mieć zwierzynę w swych rewirach, musi ją szanować, ochraniać i pielęgnować, niemniej rybak, jeżeli będzie wyławiał ryby podczas tarła, jeżeli nie będzie szanował narybku, jeżeli będzie prowadził rybactwo rozbójnicze, to może po jakimś czasie sieć zawiesić na płocie i dać pokój rybowaniu, bo szkoda jego pracy i zachodu.

Mamy ustawy łowieckie od dłuższego już czasu obowiązujące, mamy obecnie i ustawę rybacką, która przy pomocy władz wiele zrobi dobrego. Trudne to będzie zadanie kontrolować rybaków, aby pilnowali czasu ochronnego, aby nie niszczyli narybku, trudne, ale przy energii możebne

Przypatrzmy się, co się dziś z rybactwem dzieje. Całe powiśle zapełnione jest tak zwanemi wiśliskami, smugami i dołami mniej więcej obszernemi i dopływami rzek, rzeczek i strumyków, miejsca te są bardzo rybne, rybniejsze znacznie jak Wisła, szczególniej z nią połączenia mające. Wody te będące własnością gmin i dworów dzierżawią przeważnie rybacy chłopi, przypatrzmy się sposobowi ich rybowania dotąd. W pierwszych trzech dniach tygodnia najczęściej siedzą w domu naprawiają sieci i łodzie, robiąc więcierze i zwiersze, jedynie tylko wieczorami wstawiają tak zwane sznurki, a rano je wybierają z złowionemi przez noc rybami. Główne rybowanie zaczyna się dopiero od środy w lecie, a od wtorku w zimie, wtedy wszyscy w poruszeniu, zaczynają łapanie od rana, pociągnąwszy naturalnie na szczęście dobrze z pełnej flaszy, rzucają sieci, zaciągają i co jest w sieci to dobre, wszystko biorą, nawet rybki najszlachetniejszych gatunków wielkości jeszcze palca nie ujdą, bo choćby niemi rybacy pogardzili, to przy wyciąganiu sieci czeka już cała gromada wiejskich kobiet i dzieci i rzuca się na ten drobiazg jak sępy. Sam na własne oczy podobne oburzające bezprawie widziałem, gdzie kobiety i dzieci po pełnych zapaskach i kapeluszach molekularnych karasi i karpików zabierali. Gotują oni to maleństwo nawet nie patroszone ani skrobane i jedzą łyżkami jak bób lub ziemniaki. Ustawa dotąd istnieje prawie jedynie na papierze, wprawdzie na rogatkach miejskich w Krakowie pilnie baczą, aby ryby w czasie ochronnym lub nie mające przepisanej miary do miasta nie były wnoszone, ale chłop rybak wiedząc o tem, takich sam nie powiezie, on je sprzeda na miejscu handlarzom z małych okolicznych miasteczek lnb propinator zamieni mu je na sól i wódkę. Wiemy, jak żydzi łakomi są na ryby i jak nie mogą pojąć wymagań rybackiej ustawy. Co się ma w ręce, co nie łatwo złapać, co może uciec,— puścić? To mu się w głowie pomieścić nie może, trzeba widzieć żyda w takim wypadku, aby mieć pojęcie o jego rozpaczy. Raz szalony gniew mnie opanował na widok takiego żyda, chociaż go to nic nie obchodziło, bo był tylko prostym spektatorem, jak skakał, jakie głosy wydawał przy każdej puszczonej rybce: „a wej! „co pan robi! co wielmożny pan robi! takie rybkies, takie „cymes w wodzie puscać, kto jemu potem zlapi, wuna i „tak zdechnie, bo wuna wiatrem chlipla.“ Oto zapatrywanie naszych żydów a przynajmniej dziewięćdziesiątego procentu tychże, a że oni są głównymi konsumentami i kupcami ryb, więc smutna perspektywa dla ustawy a tem samem dla naszego rybactwa. Jedynie nadzwyczajnie surowe środki, kary bardzo wysokie pieniężne, a co najwięcej sumienne poparcie rabinatów mogłyby ich wstrzymać od przekraczania ustawy. Żandarmerya mająca ciągłą styczność z ludem, najwięcej tu zdziałać może, ale żandarmerya już tak przeciążona najróżnorodniejszymi swymi obowiązkami, że nie można się dziwić, jeżeli pod tym względem nie wypełnia swych obowiązków należycie.

Przepisana miara ok wpłynie nie tak korzystnie jakby się na pierwszy rzut oka zdawało na podniesienie rybactwa, wpłynie ona na pomnożenie ale też na skarłowacenie ryb a mianowicie z następujących powodów: Obecna kolosalnie wielka liczba rybaków chcąc mieć z czego czynsz dzierżawny z wód, podatek, sieci i własne utrzymanie opłacić, musi czas swej pracy znacznie pomnożyć, aby nałowić dostateczną ilość ryb, wyrosłych do przepisanej miary. O wyrosłe ryby nie tak łatwo jak o drobiazg, rybuje się zatem od niedzieli do niedzieli po wodach płynących i stojących i tym sposobem wyławia się w niedługim czasie ryby większe rozpłodowe. Oto główny punkt. Gdy tych rozpłodowych ryb, do czego dojść musi, nie stanie, co będzie? Wprawdzie ryby niedorosłe trą się również i wydają ikrę a tem samem narybek, ale czyż taki płód z roku na rok otrzymywany nie będzie karłowaciał? Wiemy z doświadczenia, że źrebaki po młodziutkich klaczkach nie rozwiniętych przed stanowieniem, zawsze są drobne i źle sformowane, że cielęta po niewyrośniętych jałóweczkach zawsze są małe i bezkształtnie wyrastają, toż samo dzieje się z psami; czyż ryba innym prawom jak ogólne prawo natury podlega? Nie przypuszczam, bo ryba jak każde inne stworzenie potrzebuje sił i należytego wzrostu i rozwoju części rodnych, aby mogła wydać płód silny i zdrowy. Z łaski sieci o przepisanej miarze ok możemy mieć tylko wielką ilość ryb małych gatunków jak kiełbi, płoci, oklejі, ślizów i t. d.

Aby zapobiedz wyłapaniu całkowitemu ryb rozpłodowych wyrosłych, jedynym sposobem według mego zdania byłoby zamknięcie rybołóstwa na pewnych przestrzeniach wód, rozłożonych symetrycznie wzdłuż biegu rzek w ten sposób, że na każdej mili bieżącej jeden kilometr zostałby wyłączony od wszelkiego łowienia i strzeżony pilnie przez strażników. Na takiej przestrzeni ryby rozpłodowe mogłyby hodować się spokojnie i zarybiać bez kosztownych sztucznych sposobów miejsca rybackie, położone między niemi. Wprawdzie przezto stracilibyśmy około siódmej części naszych wód płynących, ale z drugiej strony strata ta stokrotnie wynagrodziłaby przybytkiem ryb i to ryb mających rację bytu, bo zrodzonych z rodziców silnych i rozwiniętych. Miejsca ochronne byłyby niejako matecznikami, zwierzyńcami wybornymi. Aby uniknąć w tychże wielkiego rozmnożenia się ryb drapieżnych, należałoby kilka razy do roku, w porach przez kompetentnych oznaczonych, pod ścisłym osobistym nadzorem władzy miejsca ochronne przechodzić sieciami i ryby drapieżne wyławiać, przeznaczając dochód z nich na opłatę straży i na inne cele rybackie. Dozór nad punktami ochronnymi byłby nierównie łatwiejszy, niż, jak obecnie, nad całemi wodami. Chodzi tylko o wynalezienie funduszu na wynagrodzenie właścicieli rybołówstwa w miejscach przeznaczonych na ochronne. Fundusz ten mógłby w ten sposób być ściągnięty, jak fundusz na wykupno propinacyi, a jeżeli rzeki i wody przejdą na własność kraju, to odpadnie potrzeba tego funduszu.

Drugą kwestyą niecierpiącą zwłoki jest zmniejszenie o połowę przynajmniej ilości rybaków i zabronienie wydzierżawiania rybołówstwa gminom bez udziału władz politycznych czy autonomicznych jakoteż wydzierżawiania spółkom. Spółki te — to istotna plaga, do małego kawałka czasem nie przenoszącego jednej morgi, bywa często dziesięciu spólników, każdy ma sieci i siatki, każdy łapie, każdy chciałby przed drugim coś urwać, a co złapie, to już nie puści, bo, jak twierdzi, i tak się nie uchowa, spólnik jego dziś czy jutro złowi. Każdy z spólników chciałby coś sprzedać, coś zjeść, łapią zatem na wyścigi, dokąd się tam jeszcze jaka rybka plącze, a gdy już nie ma po co sieci zapuszczać, puszcza się na kłusownictwo kradnąc ryby, gdzie się uda, często o parę mil nawidzając stawy i sadzawki po nocach. Sieci im wolno trzymać, bo są dzierżawcami rybołówstwa, i najczęściej z tego jedynie powodu,

aby żandarmerya sieci nie zabrała, dzierżawią jakiś staweczek często i bezrybny w gminie. Sieci na szczęście nie można trzymać bezkarnie w domu jako ozdobę ścian, podobnie jak strzelbę. O! te ozdoby ścian naszych chłopków i niechłopków, te narzędzia własnej obrony w rękach leśnych gminnych a często i dworskich! Dokuczyły one nam a raczej biednej zwierzynie niemało, oby tylko sieć rybacka nie była kiedy uznaną jako poświęcana w obrębie ścian, bo strzelba przecież głośna, ale sieć milcząca!

Kończąc o rybactwie przypominam sz. kolegom w św. Hubercie, że przy nadchodzących śniegach najlepsza sposobność do prześladowania kłusowników, którzy na śniegach rozwijają swe czynności, teraz lub nigdy czas na wyłapanie zastawiających drutowe kluczki na zające, paści czyli zapastki na sarny, rozjazdy i sidełka na kuropatwy i samostrzały przy leśnych bagienkach na dziki.

Jeżeli ich na przyprószce nie wyłowicie, to na czarnej stopie szkoda czasu i atłasu przynajmniej w lecie, bo powiadają, że kłusownik ma wszystkie drogi a leśniczy jedną. Zwracać uwagę czy we wsi nie mają żelazek na tchórze i kuny, bo najczęściej ofiarą pada nie tchórz i kuna, lecz biedny szarak. *Wł. Zaleski.*

KORESPONDENCYE.

Z nad brzegów Pilicy.

Z wielką zazdrością czytuję zawsze w Łowcu korespondencye z odbytych polowań w Galicyi. W naszych stronach mimo wielkiego starania około polepszenia polowania, do tak świetnych rezultatów dojść nie możemy. Trudności, z któremi walczyć musimy, są tak liczne i przykre, że nieraz prawdziwego myśliwego do rozpaczy doprowadzić mogą. Tępienie zwierząt i ptaków drapieżnych pilnie się prowadzi, wielce to przyczynia się do pomnożenia zwierzyny, ale mamy niestety gorszych szkodników aniżeli wilk, lis lub jastrząb. Lasy dóbr Chrząstów dosyć znaczne, mające około 8 tysięcy mórg przestrzeni, obciążone są niestety zbierką i pastwiskami serwitutowemi. Skoro tylko na wiosnę śnieg topnieje i pierwsze listki trawy wychodzą ze zmarzniętej jeszcze ziemi, pastuchy pędzą bydło do lasu i tam gospodarują jak u siebie w domu. Biedna sarna i zajęczyca muszą się dobrze ze swojemi młodemi ukrywać, bo biada przychowkowi, jeśli je ujrzy drapieżne oko pastucha. Dziwną i zaiste niewytłumaczoną jest nieraz w tych ludziach żądza niszczenia, chociaż z młodej sarenki lub małego zająca pociechy nie mają żadnej, zabijają dla przyjemności zabicia. Niszczą oni *pour l'amour de l'art*, jak komuniści w Paryżu. Straż leśna wszelkich dokłada starań, aby tych szkodników złapać na gorącym uczynku, wtedy bywa kij lub dobry pręt w robocie, jedyny to sposób ukarania ich, albowiem nie ma gdzie i do kogo skarżyć. To samo dzieje się na łąkach i w polu, chłopak wiejski podlega że tak powiem zaraźliwej lub dziedzicznej chorobie niszczenia gniazd kuropatw, bażantów lub cietrzewi. Jaja już są prawie na wykłóciu, mimo tego tłucze i gniecie je z lubością, chwaląc się potem z tego czynu przed swoimi rówieśnikami. Kłusownictwo kwitnie i rozwija się przy pomyślnych warunkach, próżno bowiem straż leśna ciągłe stacza z kłusownikami walki, chociaż złapie którego, kara jest tak mała, bo około pięciu rubli, że nie powstrzyma kłusownika od powtórnej wycieczki. Pierwsza zabita sarna karę zapłaci sowicie, a odbyt na potajemnie zabitą zwierzynę zawsze z łatwością się znajdzie. Wiele jest u nas takich osób nawet poszanowania godnych, które nie mogą zrozumieć, że zwierzyna jest to własność prywatna, należąca do tego, na czyim gruncie się znajduje i że kto zabije zająca na gruncie sąsiada, popełnia to samo przestępstwo, jakby mu go ze spiżarni ukradł. Sam słyszałem pewnego pana, który powinien był być stróżem polowań w swojej okolicy, mówiącego: „Dla mnie zwierzyna to jak dym co wychodzi z komina, każdy go zabrać może.“ Na takie absurdum porządny myśliwy tylko pogardliwem milczeniem odpowiedzieć może.

Do szkodników zwierzyny zaliczam również i dzika, gdy tenże natrafi na legowisko młodych zajęcy, pożre je co do jednego. Bywają nawet wypadki, że dzik rzuca się na sarnę, na dowód tego przytoczę wypadek następujący. Opowiadał mi gajowy tutejszych lasów, człowiek zupełnie wiarogodny, że widział, jak dzik odyniec gonił za sarną z koźlęciem. Dzik ten tak był zapalony gonitwą, że niezważając na gajowego przebiegł o kilka kroków od niego i za sarną podążył. Gajowy strzelby nie miał, szkoda, że to było w czerwcu, po czarnej stopie trudno było przekonać się, czy dzikowi udało się pochwycić koźle. W jednym z ostatnich numerów Łowca w artykule o sarnach, napisanym przez Nestora naszych myśliwych pana hr. Kazimirza Wodzickiego, napotkałem uwagę, którą tutaj powtarzam jako prawdziwą i korzystną. Hr. Kazimirz Wodzicki odradza zabijanie starych kóz w lasach, gdzie bywają wilki, lub też gdzie nie ma dostatecznego spokoju Uważa on je jako stróże całego stada. Przed kilkoma tygodniami polowaliśmy z nagonką na dziki w kilka strzelb, do sarn nie wolno było strzelać. Zaledwo nagonka ruszyła, ujrzałem przed sobą na jakie sto pięćdziesiąt kroków stadko z pięciu sarn. Zobaczyły mnie i stanęły. Po chwili odłączyła się od stada stara koza i przyszła do mnie na jakie dziesięć kroków, przypatrzywszy mi się dokładnie powróciła do towarzyszek. Co im tam w sarnim dyalekcie powiedziała, tego niewiem, dość że się wszystkie raptem wyniosły.

Kuropatw tego roku było u nas niewiele i dla tego bardzośmy ich mało zabili, oszczędzając je na rok przyszły. Bekasów, dubeltów, kaczek i innych błotnych ptaków daleko mniej aniżeli w inne lata. Nie umiem wytłumaczyć tego braku, albowiem bagna nie wysuszone przedstawiają te same warunki co przedtem. W miejscach, gdzie przed siedmiu laty zabijałem do 30 dubeltów dziennie, zaledwie teraz do pięciu strzelałem. Toż samo dzieje się ze słonkami, których również daleko mniej bywa. Zapewne ptaki te bardzo są tępione w południowych krajach, gdy wygnane od nas śniegiem i mrozem przylatują długą podróżą zmęczone. Lasy tutejsze dzielimy na pięć głównych polowań i na cztery mniejsze. Główne polowania odbywają się w 12 do 18 strzelb, zależy to od kniei, mniejsze potrzebują 6 do 8 myśliwych. Staramy się o ile można polować tylko co dwa lata w tej samej części lasu. Kociołków i nagonek polnych nie robimy jeszcze, gdyż pierwsze próby się nieudały. W środku majątku Chrząstów leży miasteczko Koniecpol, polowanie na miejskich gruntach należało do mie-

szczan. Szanowni obywatele Koniecpola polując niby na swoich poletkach oddawali się kłusownictwu na polach dworskich. Obecnie miejskie polowanie jest całkowicie wzięte w dzierżawę i spodziewam się, że na rok przyszły zwierzostan w polach znacznie się poprawi. Na takiem głównem polowaniu zabijamy około czterdziestu zajęcy i pięć do siedmiu rogaczy. Na dziki polujemy tylko wtedy, kiedy są obtropione, polując zaś na zające i sarny nie zważamy zupełnie na dziki, te mięszane polowania nigdy a przynajmniej rzadko się udają. Zdarzyło mi się strzelać z pospiechu do zająca kulą a do dzika śrótem. Na zakończenie podaję opis ogólnej zwierzyny tak pożytecznej jako i szkodliwej ubitej u nas w ciągu roku 1885. Dzików 2, sarn (naturalnie rogaczy) 27, zajęcy 287, kuropatw 256, ptaków wodnych 196, przepiórek 64, lisów 17, kunę jedną, psów 58, jastrzębi i krogulców 46, wron 85.

Alexander hr. Potocki.

Lwów 3. Stycznia 1886.

W przekonaniu, że każdy myśliwy z zajęciem odczyta opis niezwykłego polowania, przesyłam sprawozdanie z polowania na dziki, które się odbyło dnia 31. grudnia 1885 w dobrach Excelencyi Alfreda hr. Potockiego w kluczu Starosielskim koło Lwowa. Dzików otropionych mieliśmy w 5 miotach sztuk 43, wieczorem na rozkładzie leżały trzy grube odyńce, najmniejszy 300 funtów wagi, 2 silne wycinki, 2 samury i 7 warchlaków — razem 14 sztuk. Myśliwych było sześciu, Artur Roman i Józef hrabiowie Potoccy, Kazimirz hr Badeni, pełnomocnik Excelencyi Szczerbicki i ja. Strzelano z expressów, z których kule pioronująco działają na zwierza, czemu jak również dobroci strzelców w części zawdzięczamy tak świetny wynik polowania. Ja strzelałem z sztućca Molnara we Lwowie i będzie dostateczną pochwałą wyrobu, gdy powiem, że do żadnej sztuki ubitych w tym dniu dzików nie dublowałem.

W pierwszym miocie mieliśmy 13 dzików, miot mały 20 letnie kultury sosnowe, z dołu czysty zrąb, z boku wysokopienny las, staliśmy w rzadkim lesie, ja stałem tak że widziałem linję strzelców i cały zrąb, miot był obstawiony pogonką i straszakami (federlappen), od ostatniego strzelca do straszaków stanęło na czystym zrębie 100 kroków od miotu pięciu leśniczych. Skoro pogonka ruszyła, wypadł z sośniny gruby odyniec i szedł galopkiem przez zrąb do stojących bez zakrycia leśniczych, którzy krzyczeli i zabiegali mu drogę chcąc go na nas napędzić, odyniec na to wcale niezważał, z uporem tej rasie właściwym szedł prosto na nich, a gdy ich minął i nie było nadziei zwrócić go do miotu, posypały się strzały, i odyniec legł przepłacając życiem swoją zuchwałość. W tej chwili wyszło na mnie dwanaście dzików, z tych zabiłem dubletą dwoje, a hr. Roman Potocki samurę, był to miot ładny, hecy z odyńcem, na którą z pagórka patrzyliśmy, niezapomnę nigdy. Pierwszy miot dał 4 dziki. W drugim miocie było dzików 6, z tych zabiłem wycinka i warchlaka, na flance zaś zginął drugi warchlak. Drugi miot dał 3 dziki. Walka odyńca z psami trwała z pół godziny, bronił się zaciekle i byłby z pewnością psy pokaleczył, gdyby nie osłabienie w skutek postrzału. Być świadkiem takiej walki to prawdziwa roskosz dla myśliwego. Do drobnej zwierzyny niestrzelano w paru miotach, tylko gdy dziki już wyszły, padło pare strzalów, hr. Józef Potocki zabił dwa lisy i rogacza, hr. Artur Potocki zająca, wszystko kulami z expressów. Odległości dość znaczne między miotami przebywaliśmy szybko saniami, przyjechawszy do następnego miotu zastawaliśmy pogonkę świeżą, w pare minut po przybyciu zaczynano gonić, wszystko szło jak w zegarku notabene dobrym, co dowodzi o zamiłowaniu hrabiów Potockich do łowów i znajomości rzeczy. Tylko tam gdzie gospodarz jest wzorowym myśliwym, podobny ład znaleść można.

Tak polowaliśmy w ostatnim dniu 1885 roku, lepiej trudno, polowanie się udało znakomicie, humory były doskonałe, słowem powszechne zadowolenie, lecz nie na tem koniec, wieczór spędziliśmy przyjemnie we Lwowie w domu Excelencyi hrabiego Potockiego, a gdy zegar wskazał dwunastą, wniósł lokaj na tacy butelki bardzo starego węgrzyna i tym to szlachetnym trunkiem z piwnic Sławuty i Łańcuta piliśmy na wspólną pomyślność w 1886 roku.

Jako dodatek posyłam opis drugiego polowania. Tego samego dnia 31. Grudnia szedł mój leśniczy w Zwierzyniu z leśnym linją w lesie, wyszedłszy za pagórek zobaczył na dolinie dwa wilki siedzące zdaje się na czatach, a trzy obok nich śpiące, pozostał sam na warcie nieprzerywając wilkom snu, a leśnego posłał do rządcy do Myczkowiec, aby przyjechał pozabijać wilki. Rządca zebrał myśliwych i dał znać sąsiadowi, który przyjechał. Wilki tymczasem przed samem nadejściem drużyny myśliwskiej weszły w gąszcz jodłowy. Obstawiono jedlinkę ile się dało i zaczęto gonić 15 chłopakami. Najpierw wyszły dwa na sąsiada mego pana Swiejkowskiego truchtem koło lasu na pole, dubleta niezawodna, pomyśli czytający połykając ślinkę — nie. P. S. kłapnął dwa razy i wilki poszły zdrowe i wesołe, jeden przeszedł miejscem nieobsadzonem na flance, drugi wyszedł na rządcę, który chciał go bliżej przypuścić, bo był w gąszczu, tymczasem wilk zobaczył go i wskoczył w młodą jedlinę bez strzału. Stara wadera wyszła na mego strzelca i ten ją zastrzelił. Więcej myśliwych i szczęścia, a byłby ani jeden wilk nieuszedł śmierci. Od lat kilkunastu gdy wytruliśmy wilki, po raz pierwszy pojawiły się w stadzie, zapewne zaszły z Węgier.

Teofil Żurowski.

Każda rzecz nadzwyczajna ma tę właściwość, że lotem błyskawicy rozchodzi się w najszerszych kołach ludzi zajmujących się sprawami tego właśnie rodzaju. Mam tu na myśli niezwykłe zdarzenie myśliwskie opisane w ostatnim numerze Łowca przez hr. Leopolda Starzeńskiego a mianowicie ubicie trzech kaczek na stawie w Pieniakach na bajeczną odległość trzema równoczesnymi strzałami sztućcowymi. Zanim o tem wyczytałem wzmiankę w łamach szanownego Pisma, słyszałem już o tem z kilku stron i opowiadano sobie z podziwem o tych strzałach, mówiono o celnem oku, o pewnej ręce a wreszcie i o szczęśliwym przypadku. Dla jasności przedstawienia rzeczy przypomnę czytelnikom przebieg zdarzenia Grono myśliwych jechało na polowanie i przejeżdżając przez groblę ujrzało na stawie na bardzo znaczną odległość nieprzeliczone stada kaczek. Dla ciekawości postanowiono do nich strzelić ze sztućców, więc trzech myśliwych zeskoczyło z wózków i na komendę padły równocześnie trzy strzały. Stado spłoszone wzleciało pod chmury a dalekowidz skierowany ku stronie strzałów stwierdził trzy kaczki zabite! Daleki jestem od tego, abym rezultaty osiągnięte przez tak znakomitych myśliwych jak hr. Starzeński i towarzysze jego chciał przypisywać wypadkowi, ponieważ jednak odległość wynosiła może 500, może 600 a nawet 800 kroków i aż za pomocą perspektywy trzeba było stwierdzić ubicie kaczek, przeto skłaniam się ku przypuszczeniu, że tym razem i traf ślepy nieoślednią grał rolę, żadną zaś miarą zgodzić się nie mogę, iżby owe trafne strzały przypisać można celności sztućców. Że kula wystrzelona z expressa dojdzie na tę odległość, jest rzecz znana i nie potrzebuje być podnoszoną, że zaś kule trafiły w kaczki a nie padły pomiędzy nie, to już

pewnie nie jest zasługą broni wyrobu firmy „A. W. Molnar we Lwowie,“ jakkolwiek stwierdzam, że sztućce pochodzące z tego warsztatu bardzo celnie biją. Nie do tego jednak zmierzam, do zabrania głosu zmusza mnie dzisiaj wzmiankowany artykuł hr. Starzeńskiego, w którym tenże zachwala staranność wykończenia broni wyrobu firmy „A. W. Molnara we Lwowie“ i w którym stara się usprawiediiwić nieustanne kłapanie tych sztućców. Kwestya zawodzenia sztućców pochodzących od pomienionej firmy była często omawiana w naszem gronie i hr. Starzeński z dziwną wytrwałością przeciw jednogłośnej naszej opinii bronił te wyroby tłumacząc, że każda strzelba czasem zawiedzie, że to nabój winien, że kapsla źle osadzona i t. p. Póki to było zawarte w granicach pogadanki towarzyskiej, odpieraliśmy jego twierdzenia i na tem się sprawa skończyła, dziś jednak, gdy hr Starzeński już słowem drukowanem i powagą osoby swojej robi jakoby reklamę i staje w obronie tej firmy, poczuwam się do obowiązku dać w tym względzie niektóre autentyczne wyjaśnienia, może ostrzedz kupujących a daj Boże może i udzielić przestrogi rusznikarzom krajowym. Nie będę się bawił w ogólniki, tem mniej w pochwały lub nagany nie oparte na dowodach, leżą bowiem przedemną protokoły polowań lisowickich, które mi służą za podstawę do niniejszego artykułu, wywód mój przeto oparty będzie na datach statystycznych.

Muszę się z góry zastrzedz przed zarzutem, który mię pewnie nie minie, że występuję przeciw przemysłowi krajowemu, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, kiedy targ krajowy zarzucony jest artykułami wyrobów zagranicznych w każdym kierunku, nie jestem apostołem wysyłania pieniędzy za granicę, czego dowód dałem nabywając sam dryling wyrobu firmy „A. W. Molnar we Lwowie“, lecz niestety nauczony doświadczeniem przyszedłem do smutnych konkluzyi, dla których dzisiaj upraszam o gościnność w łamach Łowca, zresztą są i inne warsztaty rusznikarskie w kraju. Aby szerszemu kołu czytelników dać możność dokładnego zrozumienia tej kwestyi, muszę się cofnąć o lat kilka wstecz t. j. do roku 1882, w którym hr. Starzeński przywiózł na polowanie do Lisowic swój dryling jako nowość. Broń ta przedstawiająca jako system w kniejach lisowickich znakomite korzyści, szybko znalazła amatorów i już w r. 1883 większa część Lisowczyków zaopatrzyła się w tego rodzaju kolubrynę. Dryling jest to broń mająca trzecią lufę umieszczoną u spodu, kurek lewy bije w lewą lufę a kurek prawy stosownie do nastawienia szpery w prawą górną lub w dolną, która jest zwykle expresem Jakież było nasze zdziwienie, gdy odebrawszy z warsztatu nasze drylingi, zobaczyliśmy, że przy nastawieniu szpery w ten sposób, aby trzecia t. j. dolna lufa wypalała, równocześnie wysuwały się oba trzpieńki bijące w kapsle t. j. trzpieniek prawki i dolnej lufy. Na to otrzymaliśmy zapewnienie, że z dwóch luf równocześnie nie wypali z pewnością, ponieważ jeden trzpieniek się spiera na kapslu (sic) i nie puści, cała zatem gwarancya była na sile odpornej blaszki kapslowej. W dalszym ciągu wykażę, o ile ta gwarancya była pewną. Tymczasem zaraz na pierwszem polowaniu rozpoczęło się kłapanie tych sztućców na wyścigi, na to była stała odpowiedź hr. Starzeńskiego, że „każda broń czasem zawiedzie“, rozumiem „czasem“ ale „czasem“ ma swoje granice. Nie chcę nużyć czytelników cytowaniem wszystkich kłapnięć, wspomnę tylko o niektórych a tych bądź to dla swej strony komicznej bądź dla groźnego niebezpieczeństwa milczeniem pominąć nie mogę, I tak nasz towarzysz Stanisław Piegłowski 26. Października 1883. na Pile, na przerębie Antoniego Dembińskiego, kłapał do jednego jarząbka cztery razy, zmieniając naboje usiłował wystrzelić lecz napróżno, aż wreszcie jarząbek urażony tem lekceważeniem i śmiechem naszym ogólnym uleciał między drzewa. Ten sam towarzysz kłapnął 30. Października 1883. na drodze Andrunie do niedźwiedzia postrzelonego już poprzednio, kiedy zwierz zobaczywszy go ruszył obces na niego i gdyby nie szybki i celny strzał hr Kazimirza Wodzickiego pisałbym dzisiaj o Piegłowskim: ś. p Stanisław. Doszło do tego, że Piegłowski mając trzylufkową broń strzelał do dzików z górnej gładkiej lufki, przekładając strzał niedokładny a prawdopodobnie wypalający nad groźny i milczący express. Szczęśliwszym od niego był Alexander Hulimka, straciwszy bowiem zaufanie do swojego trzylufka, potrafił go sprzedać za 60 fl., hr. Stanisław Stadnicki zamieniał swój za starą i już dobrze zużytą iglicówkę systemu Teschnera, a hr. Henryk Łączyński nakłapawszy się do syta dał swojemu drylingowi chleb łaskawy.

Dnia 4. Lutego r. 1885. w Lisowicach na przerębie Starej jedliny wyszedł ogromny wilk na pana Alexandra Krzeczunowicza, uzbrojonego również w taką broń, myśliwy przypuścił go na kroków 20 i..... broń zawiodła — wilk przestraszony skoczył w krzaki tak, że p. Krzeczunowicz nie mógł drugi raz strzału tentować; szczęściem wilk ten wypadł następnie na strzał hr. Edmundowi Dzieduszyckiemu, który nie mając tak znakomitej broni powalił go na miejscu. Muszę wreszcie stanowczo odeprzeć twierdzenie hr. Starzeńskiego (choć i za to rusznikarz powinien być odpowiedzialny), że w zawodzeniu tych strzelb ponosi winę oprócz nabojów, kapsli etc także szpera umieszczona po prawej stronie zamków i że system Sauera mający szperę między kurkami jest niezawodny. Oto hr. Łączyński ma szperę systemu Sauera, a wszyscy byliśmy świadkami, że kłapał na równi z innymi. Zresztą upewnia nas hr. Starzeński, że sam nigdy nie kłapnął. Nie robiąc dokładnych zapisków myśliwskich nie dziw, że fakt tak drobny uszedł jego pamięci, ja zaś mam protokoły przed sobą, w których czytam, że dnia 22. Stycznia r. 1883. w Lisowicach, w miocie branym od głównej linii na pastwisku wzdłuż przerębu Grabowskiego hr. Starzeński kłapnął do dzika, a zresztą jak to często zdarzyć się może, że myśliwy w zapale, gdy mu broń zawiedzie myśli, że przez omyłkę była nienabitą. Lecz przyznaję chętnie, że jedno udowodnione kłapnięcie hr Starzeńskiego przekonywa mię, że firma „A. W. Molnar we Lwowie“ odwdzięczając hr. Starzeńskiemu za całkiem wyjątkową o sobie opinię, całkiem wyjątkowy dryling mu zrobiła, co wszakże nie przeszkadzało, że w kilka tygodni później przy wystrzale broń ta w kawałki rozerwaną została. Dla uzupełnienia obrazu winienem dodać, że drylingi te dają jednak ogółem tyle strzałów ile dać powinny a to w ten sposób, że dla utrzymania równowagi czasem wypalają z dwóch luf od razu, jakto się stało przy mnie panu staroście Barańskiemu na przerębie strzeleckim. Powróciwszy do Lwowa wstąpiłem do warsztatu firmy A. W. Molnar, a na moją w tym względzie uwagę otrzymałem odpowiedź nacechowaną dziwnem zadowoleniem z siebie samego „że to nic nie szkodzi, tem pewniej zabije.“ Zdanie to jako rusznikarza wobec myśliwego i kupca wobec kupującego poddaję pod krytykę ogółu.

Wracając jeszcze do Piegłowskiego nie mogę pominąć milczeniem, że tenże po przeróżnych próbach i naprawianiach kazał sobie zrobić drugi dryling, po kilku strzałach jednakże na zewnętrznej części lufy okazała się dziura, nie jestem rusznikarzem i nie umiem wytłumaczyć tego faktu. a niepewnemi przypuszczeniami nie chciałbym zrobić krzywdy pryncypałowi tej firmy. Po ponownem naprawieniu powrócił Piegłowski tej

jesieni do Lisowic znowu z drylingiem a wyjechawszy w niedzielę do miasteczka prosił mnie, abym w jego nieobecności strzelił kilka razy do celu, zostawił mi cztery naboje, z tych czterech zawiodły trzy — to już chyba wielkie „czasem“.

O innym niemniej ciekawym fakcie opowiadał mi Onufry Horodyński, kupił od firmy „A. W. Molnar“ iglicówkę systemu Teschnera, po kilkudziesięciu strzałach strzelba ta przestała strzelać zupełnie, zaciekawiony Horodyński rozebrał tę broń i cóż zobaczył? oto igły w zamku uderzające za pośrednictwem ćwioczka w kapslę, zrobione były z materyału tak miękkiego, że się zupełnie rozbiły i skróciły, zapytuję tedy hr. Starzeńskiego, czy i tu winien nabój czy szpera?

Na zakończenie muszę uczynić wzmiankę i o moim drylingu. Przez rok myśliwski 1883/84 nie kłapnął ani razu, a kiedy inni już nauczeni doświadczeniem towarzysze patrzali z niedowierzaniem na moje zaufanie do tej broni, odpowiadałem, że póki mnie nie zawiedzie, póty wierzę, biła bowiem istotnie celnie, a kiedy mi w roku 1885 w zimie kłapnęła dwa razy na jednem stanowisku do dzika, zwróciłem się do hr. Starzeńskiego, który mnie upewnił, że to są złe naboje, dla przekonania się włożyłem te naboje do innego sztućca i obadwa wypaliły. Po tym experymencie udałem się do Lwowa i oddałem mój sztuciec do naprawy, po kilku dniach oddano mi go z uroczystem zapewnieniem, że już zupełnie naprawiony i wypróbowany; dla przekonania się wziąłem siedm próżnych nabojów i probowałem, otóż z tych 7 kłapnęło 4, czy i to znaczy „czasem“? Każdy zrozumie, że gdybym miał wybór konieczny między procą a taką bronią, wybrałbym bez wahania procę. Na stwierdzenie faktów przytoczonych powołuję się na świadków: Władysława Bzowskiego, Alexandra Hulimkę, Onufrego Horodyńskiego, hr. Henryka Łączyńskiego, hr. Maryana Łosia, Kazimirza Marmorosza, Alexandra Krzeczunowicza, hr. Stanisława Stadnickiego, hr. Stanisława Tarnowskiego i hr. Kazimirza i Stanisława Wodzickich. Może najsilniejszem poparciem mych słów będzie, że po dwuletniem experymentowaniu w gronie lisowickiem oprócz hr. Starzeńskiego wszyscy zarzucili drylingi A. W. Molnara. W chwili gdy to piszę, dowiaduję się, że Piegłowski znowu jakąś fabrykę ze swoją bronią rozpoczął, ja myślę że najodpowiedniej byłoby kolubrynę tę zagwoździć.

Oto są nagie fakta, które wymienić musiałem dla odparcia niezasłużonych pochwał wyżwymienionej firmie rusznikarskiej, a może i nie spotka mię zarzut, że początkującej firmie rzucam kij między nogi, gdyż i ja i wszyscy moi towarzysze czynnie zrazu ją popieraliśmy, pomni na to, że jest obowiązkiem obywatelskim wspierać przemysł krajowy a każdy początek jest trudny, ale niechaj nikt nie sądzi, że frazesami o patryotyzmie i hasłem „przemysł krajowy“ potrafi terroryzować ludzi i skłaniać do kupowania swego towaru, niech zrozumią ci, do których to się odnosi, że chcąc podnieść przemysł i oddać tem samem krajowi przysługę, trzeba przedewszystkiem gorliwej i sumiennej pracy; do sumiennych i pilnych producentów przyjdą konsumenci, od złych i niedbałych odsuną się! *Zygmunt Pietruski.*

Podhorce 7. Stycznia.

Korzystając z wolnego czasu i ładnej zimy wyjechałem do krewnych na Bukowinę, w dolinę małego Seretu. Wieś wielka robi wrażenie wsi górskiej, obejścia znacznie od siebie oddalone, wszystkie budynki kryte dranicami i okolone ohgrodzeniami. Mieszkańcy Rusini zrumunizowani, Rumuni i miejscami Polacy, ci ostatni szczególne mają poczucie narodowości, n p. właściciel pyta chłopa Polaka, bo już samo nazwisko Tarnawiecki to wskazuje: „czem był twój ojciec“ — „a Polak. proszu Pana“ — a „dziad?“ — „takoż Polak“ — „a ty czem jesteś?“ — „Ja, ja proszu Pana — ja Rumun“. Wszyscy wieśniacy są dobrymi myśliwymi i strzelcami, o co nie trudno w okolicy przeważnie lesistej, gdzie w odwiedcznych borach jodłowych i bukowych mieszka jeleń, i dokąd wilki i rysie aż zbyt często zachodzą Jedną tylko wadę miewają, lubią ubitą zwierzynę schować na swój prywatny użytek, woląc mieć mięso lub futro niż być pochwalonymi za celny strzał Bywają z tego powodu czasem kolizye, ale bukowiński chłop ma głowę nietylko do upiększenia korpusu służącą. I tak raz na polowaniu w N. było kilku wieśniaków zaproszonych, a między nimi stary Nykołuca, (Mikołaj) znany strzelec i posiadacz w wysokim stopniu rozwiniętego amatorstwa cudzej zwierzyny. W pierwszym miocie stanął sobie pod jodłą i spokojnie zażywając tabakę, patrzał przed siebie. Wtem jego sąsiad, krewny gospodarza, widzi, jak stary mierzy ze swej jednorurki, padł strzał, i znowu cisza, Stary zażył tabakę, nabił swą puszkę i czeka dalej, po chwili nowe mierzenie, strzał, zażywanie tabaki etc. Nykołusa w ciągu jednego miotu trzy razy strzelił. a po skończonym trybie wyniósł dwa małe lisy. Myśliwi się zeszli, oglądano lisy i podziwiano szczęcie Nykołusy, gospodarz jednak, dowiedziawszy się, że stary trzy razy strzelił, kazał poszukać, czy nie ma trzeciego trupa i o dziwo! leśny po chwili wynosi ogromnego mykitę, którego pod jodłą znalazł zasypanego liśćmi, i opowiada, jak go odkrył. Możnaby myśleć, że chłop się zażenował choć trochę, lub przeraził — bynajmniej! tylko pokiwał głową i z podziwieniem rzekł: „*Eaca vicleana vulpe, cum s'an ingropat*“ (co za przebiegły lis, jak się sam zakopał).

Kłusownictwo kwitło do niedawna we wsi i w okolicy. ale od trzech lat, od czasu jak właściciel sam zamieszkał, co raz mniej zdarza się wypadków schwytania kłusownika. Głównie przyczynia się do tego ostry dozór i surowe doraźne karanie schwytanego. Za to wszyscy lepsi strzelcy biorą udział w polowaniach, i wcale nieźle się sprawują. Ale co to pracy kosztowało, nim ich nauczono stać na linii strzelców, nie wchodzić w miot etc,, także nie mogli pojąć konieczności szanowania kóz i łani, ale od czasu jak zagrożono im karą doraźną, wolą wcale nie strzelać do rogaczy, bo „a nuż jak strelu, bude z rohacza koza, a na szczo meni toho“.

Zwierzostan ochraniany od pewnego czasu, jest bardzo rozmaity, a przytem dosyć liczny Jeleni kilka rodzin mieszka w ostępach; dziki zachodzą z sąsiednich lasów, a sarny i zające, szczególnie te ostatnie, w niektórych trybach bardzo liczne. Jarząbków szczególnie na wabika pada co roku kilkanaście. Drapieżne zwierzęta także niestety dosyć liczne; wilki i rysie z sąsiednich lasów funduszu religijnego bukowińskiego zachodzą prawie co roku; lisy, wydry i kuny liczne, choć bardzo tępione. Jastrzębi, szczególnie gołębiarzy *(Astur palumbarius)* coniemiara, a tego lata przeszło 50 różnych jastrzębi i orłów ubito; srok i wron za to bardzo mało. Polowaliśmy dwa dni w rewirze 800 morgów, zwanym dla licznych i bagnistych parowów, giert, „Bahno“; strzelców było około 15, między nimi 10 chłopów, a nagonki 25 ludzi, z kałatawkami. Jelenie były świeżo, ale nigdzie nie spotkaliśmy ich, bośmy głównie na lisy i zające polowali. Padło 24 zajęcy i lis jeden, drugi ciężko postrzelony poszedł do jamy, prócz tego przeszło wiele zajęcy bez strzału. Strzelanie dosyć trudne, bo większa część trybów zarosła i podszyta tak, że na 10 kroków nic nie widać, a że linie i przeręby bardzo wąskie, więc nieraz strzał

padnie w miejsce gdzie zwierz był. Trzeciego dnia, mimo zawieruchy śnieżnej, która się zerwała, wzięliśmy dwa tryby, — w rewirze Oberina Mare, na drugiej stronie rzeki Seretu. Leśni obtropili całe stado dzików, więc emocya pewna była, ale oczekiwane dziki, uwiadomione widać przez bukowińską Sylwankę o łowach, wyniosły się w czas, a zamieć zasunęła tropy. Po skończonym miocie przybiega leśniczy oznajmiając, że na flance dwa wielkie jelenie opuściły miot i przeszły wolno w dalszy tryb. Z największym pospiechem i o ile można najciszej obstawiliśmy się, za mną stał rumuński wieśniak Kreczun, — wtem słyszę słaby gwizd i mój sąsiad telegrafuje mi w sposób, jakiego Napoleon używał, rękami pokazują, naprzód na głowę, potem z desperackim wyrazem na twarzy, machając, że oba jelenie wyszły z miotu. Szczęśliwej drogi, pomyślałem sobie, siadłem plecami do miotu i zacząłem w myśli narzekać na figle Sylwanki kapryśnej.

Niechcąc dalej narażać się na zły humor tejże Sylwanki wyjechałem, unosząc ze sobą mimo pewnego zawodu jak najmilsze wspomnienia kilku dni przyjemnie spędzonych i obiecując sobie, że skoro tylko czas mi pozwoli (i n. b uprzejmy gospodarz zaprosi) znowu pojadę na Bukowinę, a może wtedy Sylwanka będzie dla mnie łaskawszą, tymczasem polecam siebie, gosdodarza i jelenie Jej łaskawej pamięci.

Juljan br. Brunicki.

KRONIKA.



Dnia 23. Grudnia z. r. zmarł w Krakowie **Artur Bartels.** Wszystkie pisma polskie podały ową smutną wiadomość dołączając treściwą wzmiankę o cnotach i zasługach zmarłego. Zaiste typowa to była postać, znana czytelnikom „Łowca“ z prac umieszczanych w tem piśmie. Dosyć przypomnieć „Tydzień Poleski“, pełen humoru, życia i prawdy. Obok tego wielkiej ceny utworu inne odtwarzały dawne tradycye myśliwskie w pięknych i wiernych obrazkach. Jako myśliwy starej daty, pełen hartu, gorąco przejęty wspomnieniami przeszłości, żył w nich, umiał je też szkicować z całą prawdą i wiernością. Jak z wdzięcznością przyjmowaliśmy jego twory, tak z łzą szczerego żalu żegnamy go! Cześć mu i wieczna pamięć!

W sprawie wniosku posła Abrahamowicza. Zanim w sprawie, którą tu podnieść myślę, odezwą się czy to w Sejmie czy w dziennikarstwie głosy więcej od mojego kompetentne, upraszam o umieszczenie kilku słów, które wysyłam jak na tyraliera mając nadzieję, że *gros* armii interesowanych szczególniej w „Łowcu“, piśmie w tej kwestyi fachowem, za mną wystąpi. Chcę tu mówić o projekcie wniesionym do Sejmu naszego przez posła Abrahamowicza, a żądającym ustanowienia opłaty kart myśliwskich, do jakiej byliby zniewoleni nawet dzierżawcy i właściciele polowania, jak równie każdy pragnący polować.

O ile p. poseł Abrahamowicz zasłużył się dobrze, według mojego skromnego zdania, nieszczęśliwym kontrybuentom galicyjskim, płacącym autonomiczne podatki na stypendya dla panien i panów, mających czy to pewną biegłość muzykalną w palcach, czy też gardła skonstruowane w tak fenomenalny sposób, że wydają z siebie jakieś „wysokie C“, i pierwszy podniósł głos obrony przeciw dalszej dodatkowych centów gospodarce, centów, których już nie mamy zkąd dobierać; o ile wszyscy opodatkowani wdzięczni mu byli za jego obronę i dowód cywilnej odwagi, tak rzadkiej w gronie kurulów naszych, *ad majorem Dei i Wydziału krajowego gloriam* z taką łatwością podnoszącym palce do góry, gdy chodzi o dodatkowe centy i stypendyjne wsparcia; o tyle nieszczęśliwym pomysłem kart myśliwskich popsuł on dobre wrażenie, jakie w kraju mowa jego ostatnia uczyniła.

Na przeróżnych „zważywszy“, jednych więcej błahych jak drugich, opierając swój projekt, między innymi powiada p. poseł, że karty myśliwskie przyczynią do pomnożenia dziś jakoby małych czynszów z dzierżawy polowań gminnych, itp. itp. Na jakiej podstawie przez zaprowadzenie drogiej opłaty kart myśliwskich, jakim to cudem w skutek tego nowego rodzaju a uciążliwego podatku będzie się zwierzyna rozmnażać a dzierżawy polowania gminnego już i tak nadto drogie względnie do tego co przynoszą, pójdą jeszcze w górę, tego nam pan poseł nie wytłómaczył, bo zaiste nie byłby w stanie tego dokazać tam, gdzie z tych samych przyczyn zupełnie przeciwnych rezultatów możnaby dowieść jak na dłoni.

Wniesiony projekt jest tylko na rękę wielkim panom, którzy tysiącami na zbytki rzucając, nie wiele dbają czy ich spotka większy o 20 lub 30 zł. podatek i zdaje się prawdziwie, jakby umyślnie dla nich, dla zapewnienia im nowego monopolu, dla uniemożebnienia tej rozrywki, jaką jest polowanie, średnio zamożnym, został on do Sejmu wniesionym.

W przeciwieństwie tego co pan poseł twierdzi o nic nie znaczących czynszach polowania gminego, wiadomo każdemu, że wobec ustawicznej kradzieży i niszczenia zwierzyny przez chłopów a bezkarności kłusownictwa, zwierzyna ta czynszu nigdy nie opłaca. Sam znam wielu dzierżawców, którzy dla tej bezkarności, trudności walczenia z solidarnie związanymi całych wsi złodziejami, utrudnień, jakie napotykają w otrzymaniu jakiejkolwiek satysfakcyi lub kary na złodzieja zwierzyny, albo już wyrzekli się dawno dzierżawienia polowań gminnych albo też zamyślają to uczynić po upływie dzierżawy. Do tych ostatnich ja też należę, na 4000 bowiem morgach polowania gminnego zabiłem przez 5 lat *pięć* zajęcy, a zapłaciłem za to w przeciągu tego okresu czasu *250 zł.* czyli jeden zając kosztuje mnie 50 zł., chłopi zaś tutejsi wypasają się na codzień zjadanych combrach moich zajęcy, ich dzieci na jajecznicy z wybieranych jaj kuropatwich podczas lata.

Kiedy tak jest dzisiaj, cóż to będzie, gdy przyjdzie opłacać Bóg wie z jakiej racyi, drogą, zapewne kilkanaście zł. kosztującą kartę myśliwską. Pomijam tu już przez ten projekt naruszoną zasadę prawa własności, gdyż ona tylekrotnie naruszoną została, że dalsze zamachy na nią nie sprawiają już w ciągle podskubywanych gęsiach oburzenia, choć z drugiej strony warto, by te gęsi dobroduszne wyciągnęły razem dzióby ku osobie pana Abrahamowicza i jednogłośnem gęganiem zapytały go, czy też nie za to płacą dzierżawcy czynsze polowania, by im bić wolno było zwierzynę i czy też zwierzyna znajdująca się na gruntach właściciela nie należy do niego, by za wolność bicia jej miał płacić? Pomijając tę główną zasadę prawa własności, przeciw której na liberalnym koniku p. poseł harcuje, zapytujemy pana Abrahamowicza, ażali temi kartami myśli on pomnożyć zastęp konkurentów do dzierżawy polowań gminnych, a tem samem podnieść ich czynsz dzierżawny na korzyść nie właścicieli małych parcel gminnych, z których żaden nie widział jeszcze jednego centa, z tego źródła pochodzącego, lecz na korzyść... wójtów zapewne i pisarzy gminnych? Myli się jednak pan poseł, bo jeśli teraz w skutek bezkarności kłusownictwa, a przez to czystej straty czynszów dzierżawnych, brak jest dzierżawców i konkurentów przy licytacyach, to po nastaniu kart myśliwskich drogo opłacanych, każdy średnio zamożny, a mało ich już pozostało w kraju, będzie zmykał dziurką od klucza od podobnych antrepryz, jak Twardowski od swojej małżonki. Dzięki panu Abrahamowiczowi antrepryza ta pozostanie udziałem i monopolem wielkich lub choćby tylko większych panów, a gdzie ich nie ma, dostanie się chłopu, który nie wystawiony tak na kradzieże jak inni od swoich, w nadziei zysku w pierwszych dwóch latach, za które gotówką zapłacić musi, pokusi się o nią i co do zysku nie zawiedzie. W pierwszych dwóch latach, za które zapłacił, wytępi co do nogi zwierzynę i trzeciego roku nic już nie zapłaci, a jeżeli go potem pan Abrahamowicz wynajdzie i wydusi na nim dotrzymanie kontraktu i czynsz czterech lat następnych, to mu dam konia z rzędem. Po dzierżawie zaś chłopa, jako ciekawy okaz zoologiczny, panowie badacze przyrody, będą zające ukazywać.

Pan poseł stawia nam za przykład Czechy, Francyę ponoś i Bóg wie jakie tam jeszcze zagranice, które zdaniem jego winniśmy naślado-

wać. Nieszczęście to jest nasze, że zawsze musimy kogoś naśladować, jak niemowlę. Żałować wypada, że pan poseł nie wniósł mocyi do Sejmu, by każdy chłop galicyjski obowiązany był jeździć conajmniej karyolką na resorach (Selbstkutschirer) od Schustala, bo przecież każdy chłop, gospodarz na kilku morgach w Czechach lub we Francyi takim powozikiem objeżdża z połowicą swoją okoliczne jarmarki. Byłoby to bardziej racyonalne prawo, bo nakazujące dobrobyt, któreby się równie przysłużyło tak piechotą i boso chodzącym chłopom galicyjskim jak i wnioskodawcy, który przez przeprowadzenie jego zyskałby sobie nieśmiertelność.

Pan poseł Abrahamowicz twierdzi, że opłata kart myśliwskich przyczyni się do wytępienia kłusownictwa. Jakim zaś to ma się dziać sposobem, jaki wpływ kilkanaście więcej papierków, wyciągniętych najniesłuszniej z cudzej kieszeni, wywrzeć mają na złodziejach zwierzyny taki wpływ, by ich do tego rzemiosła zniechęcić, tego nam pan poseł niewyjaśnił. Niechże więc wybaczyć raczy, że twierdzenie to weźmiemy w znaczeniu dyletanckiem a idąc za jego przykładem, również po dyletancku a la Rozbicki dodać się tu ośmielimy, że karty przez pana Abrahamowicza wynalezione nie tylko na zatwardziałych raubschützów, ale nawet na wyprostowanie pochylonej osi kuli ziemskiej zbawiennie oddziaływać nie omieszkają; zbawienne zaś skutki działania kart myśliwskich na oba tu wymienione przedmioty czy kwestye, w jednym i tym samym czasie z całą pewnością się okażą! Oby tylko również zbawiennie oddziaływać chciały na wyprostowanie spaczonych jak oś ziemska pojęć wielkiej liczby mieszkańców pewnego koronnego kraju!

Nie karty myśliwskie, nie nowo nakładane pod byle jakim pretekstem na upadających pod ciężarem podatków, ale surowe karanie naruszenia cudzej własności, przestrzeganie i ścisłe wykonanie ustaw łowieckich co do kłusowników, zmniejszy w jednej chwili ich liczbę i wkrótce ich ślad nawet zagubi. Karta myśliwska nic nie pomoże, jeżeli schwytany na uczynku raubschütz będzie, jak się to dziś najczęściej zdarza, kpił sobie z poszkodowanego, który za jedyną satysfakcyę przyjąć zwykle musi przysługujące mu prawo przewietrzenia się w kilkakrotnych a często dość oddalonych a kosztownych podróżach do miast powiatowych. Nie pomoże ona, jeżeli czy to straż leśna lub wszelki ustanowiony dozorca tak będzie jak dziś swoich obowiązków pilnował, to jest najzwyklej okradając i oszukując swego służbodawcę na współkę z wszelkiego rodzaju nicponiami. Niech pan poseł naprzód starać się raczy o poprawę obyczajów ludności, o natchnienie każdego członka społeczeństwa poczuciem swego obowiązku, jak przecież mniej więcej jest w Czechach lub Francyi, zkąd nam wzory brać każe, o dobrobyt jak tamże, jeżeli można, a potem niech pomyśli o owych kartach myśliwskich, które się wtedy opłacą Gdy tego dokaże, znikną i raubschütze, a ja pierwszy choć i wtedy nie z przyjemnością, bo się niesprawiedliwością brzydzę, ale zawsze w nagrodę cudów zdziałanych, pierwszy mu kartę myśliwską opłacę.

Swoim pseudo-liberalnym projektem pan poseł pozbawia tysiące ludzi rozrywki i przyjemności, której im jednak Pan Bóg nie zakazał. Parę godzin polowania była to nieraz jedyna rozrywka tylu biednych urzędników, lub innego stanu niezamożnych ludzi, jakiej po pracy mogli czasem sobie pozwolić. Gdyby projekt pana Abrahamowicza przyszedł dziś do skutku, co nie daj Panie Boże, rozrywka ta nikomu nieszkodliwa byłaby dla tych ludzi niedościgłym ideałem, dla monopolu stworzonego na korzyść wyłącznie zamożnych, którzy sami będą nieraz w kłopocie, zkąd zgromadzić na prędce kilku strzelców do kniei, bo przecież nie każda wieś lub miasteczko w bankierów i do tego dobrych myśliwych obfituje.

Na dziś moglibyśmy dać pokój wynajdywaniu nowych coraz przeciążeń, których i tak mamy już podostatkiem. Każdy metr sześcienny powierzchni dla płuc nam potrzebny, opłacamy tak drogo, że jak to panu Abrahamowiczowi wiadomo, nie ma go już czem opłacać. Na każdym kroku spotykamy się z „nie wolno“ „zabronione“ itp. tak, iż jest nadzieja, że maluczko, a nie będzie nam wolno rodzić się i umierać jak tylko według przepisów i paragrafów. Zostawmy w spokoju zachcianki fiskalne. są one tem mniej piękne, ile że potępiając słomkę fizkalizmu w oczach drugich, na którą krzyczymy, sami nosimy się z belką gotową do porodu. Oby to był płód proroniony, tego panu posłowi wnioskodawcy serdecznie życzymy! *B. Jordan.*

W sprawie wniosku posła Abrahamowicza. Przeczytawszy wniosek posła Abrahamowicza w sprawie noweli do ustawy łowieckiej w łamach noworocznego numeru „Łowca“, chciałem koniecznie dopatrzyć korzyści, jakieby łowiectwo i zwierzostan kraju naszego mógł odnieść z uchwalenia i wprowadzenia w życie tego wniosku. Skończyło się jednak na dobrych chęciach, bo nie zdołałem nic dojrzeć dodatniego, może z tej przyczyny, że patrzałem na rzecz jako myśliwy. Zupełnie inaczej się ta sprawa przedstawia, gdy wcale nie trzeba się troszczyć o stan zwierzyny, w takim razie najważniejszym argumentem jest opłata roczna na rzecz funduszu krajowego i wtedy wnioskodawca zdawał mi się być łowczym krajowym, polującym na ......, w istocie nader cenną zwierzynę. Lecz przejdźmy do analizy wniosku.

Pierwsze „zważywszy“ odnosi się do zbyt mało ograniczonej wolności noszenia broni w otwartem polu, skoro posiada się kartę uprawniającą (Waffenpass) do jej posiadania. Ośmielam się zapytać wnioskodawcę, czy straż myśliwska ma kłusownika oszczędzać, gdy tenże posiada kartę na broń?

Drugie „zważywszy“ ubolewa nad zbyt taniem wydzierżawianiem obszarów gminnych i więcej zwraca uwagę na dochody gminne, jak na zwierzostan, więc tem samem nie podlega krytyce ze stanowiska łowieckiego. Zapytam się jednak pana wnioskodawcę, czy obszary gminne będą korzystniej wydzierżawiane, gdy wynajmujący polowanie będzie zmuszony opłatę od karty myśliwskiej uiszczać? W obec dzisiejszego stanu rzeczy wątpię! Nie każdy obszar włościański znajdzie dzierżawcę, któremuby ta opłata różnicy nie uczyniła, chyba że celem ustawy ma być jak najtańsze wydzierżawianie polowań i uchylenie współzawodnictwa przy licytacyach, więc byłby to rezultat wręcz przeciwny zamiarowi.

Trzecie „zważywszy“ niewiem, czy można tem mianem nazwać. Zwierzostan krajów w tem „zważywszy“ wymienionych, nie rozwinął się do liczby bogatej obecnej w skutek wprowadzenia kart myśliwskich, jakby się z tego „zważywszy“ zdawać mogło, ale przeciwnie karty myśliwskie ustanowiono dopiero wtedy, gdy zwierzostan podniósł się do znacznej liczby i dzierżawca wobec korzyści i przyjemności z polowania wynikających, mógł chętnie taką opłatę uiszczać, co do naszych stosunków wcale się nie da zastosować.

Na podstawie owych trzech „zważywszy“ występuje wniosek, którego ostateczną dodatnią stroną jest korzyść dla funduszu krajowego, ujemną zaś ta, że od chwili uchwalenia tej ustawy zające wszystkie schronią się do lasu wiedząc, że pan wnioskodawca nie uwalnia służby myśliwskiej polowej od opłaty za karty myśliwskie.

Mam nadzieję, że to istotne curiosum w naszych stosunkach łowieckich nawet przedłożonem Wysokiemu Sejmowi nie będzie, a w razie przedłożenia uchwalonem nie zostanie, co daj Boże!

Józef Krzysztofowicz.

W dniach 14—19 Grudnia odbyło się polowanie w Wysuczce, majątku ordynackim JWPani Maryi Felicyi z hr. Golejewskich Czarkowskiej. Dwunastu towarzyszów brało w zabawie myśliwskiej udział z rezultatem 19 kozłów, 17 lisów i 236 zajęcy. Pięć dzików postrzelonych poszło w obce rewiry. Ponieważ co roku zdaję sprawę ze stanu zwierzyny i o rezultacie polowań, przeto donoszę, że wskutek ogólnych skarg na szkody przez dziki czynione, zarządziłem polowanie w powyższym majątku w Październiku, na którem ubito w 8 strzelb 3 dziki, 10 lisów, 8 zajęcy i 6 słonek. *Tadeusz Czarkowski.*

Ostrów 10. Stycznia.

Do rzędu najświetniejszych polowań w tym roku w Wschodniej Galicyi śmiało zaliczyć można polowanie odbyte dnia 30. Grudnia w Petlikowcach u Wgo Juliusza Korytowskiego. Na przestrzeni niespełna 30-morgowej ubito przy bardzo słabym kontyngensie myśliwych: 4 rogacze, 2 lisy i 98 zajęcy. Z powodu niemożliwości obstawienia wszystkich stanowisk, drugie tyle zwierzyny uszło bezkarnie. Zauważać należy, iż w tej kniei przed nabyciem jej przez dzisiejszego właściciela zabijano ongi w czasach przedustawowych zaledwie po kilka zajęcy dziennie, a o sarnie nikt tam nigdy nie słyszał na kilka mil dokoła. Jasny jest to dowód, do czego racyonalna opieka i sprężyste działanie straży leśnej doprowadzić mogą. Oby to było zachętą i bodźcem dla innych właścicieli rewirów. *S.*

Lwów 28. Grudnia 1885.

W dniach 17, 18, 19 Grudnia odbyły się polowania w Steyregg (Górna Austrya) u Hrabiego Konrada Weissenwolf. Ogółem padło 300 bażantów, 80 zajęcy i 6 kozłów; polowano w łozach i olszynach nad Dunajem, w których bażantów znakomita ilość, czego dowodem, że padło 300 sztuk prawie samych kogutów, gdyż kur nie strzelano. Z Galicyi oprócz hrabiny Jadwigi Weissenwolff matki gospodarza, brali udział w tem polowaniu pp. A. Fedorowicz, hr. Krasicki i Z. Skrzyński; z miejscowych gości byli Baronowie L. i A. Kast, a 19go wziął udział w polowaniu Arcyksiąże Jan Salvator z ochmistrzem dworu Baronem Menshengen podejmowany następnie gościnnie na zamku Steyregg. Nie

potrzebuję dodawać, że polowanie wzorowo prowadzone, dowodziło wielkiej sprężystości i znajomości rzeczy u Gospodarza; a nie wątpię, że będę wiernym tłumaczem uczuć mych towarzyszy, jeśli w końcu dodam, że tych parę dni spędzonych nad Dunajem pozostaną na długo w ich pamięci, i że się rozjechali pod urokiem uprzejmości i gościnności właścicieli Steyreggu. *T. K.*

Drobiczówka dnia 19. Grudnia 1885 r.

Sąsiedzi myśliwi rozjechali się do domu a ja biorę pióro do ręki, by opisać czytelnikom „Łowca" przygodę, jaką mieliśmy dzisiaj z dzikami. Wstawszy rano siadłem na konia i dalej w las tropić dziki. Objeżdżam mioty i znajduję cztery dziki w jednym a dwa lub trzy w drugim. Wracam więc galopem do domu, rozsyłam posłańców a w godzinę przyjeżdża czterech myśliwych. Co w kniei się działo, tego wam długo opisywać nie będę. Dziki wyszły na myśliwych, po dwóch strzałach bezskutecznych wróciły na nagonkę a po wzięciu miotu skonstatowaliśmy, że wyszły w pole. Pomyśleliśmy sobie, szkoda, dziki przepadły, ale trzeba choć zajączkami rozerwać się trochę. Słońce zachodziło, więc dajemy pokój biednym zającom, siadamy na sanie i wracamy do domu, a po drodze czynimy wyrzuty tym, którzy chybili do dzików. Wtem odjechawszy z kilometr słyszymy z pierwszych sani strzał, w tej samej chwili widzimy stadko dzików z siedmiu sztuk, pomykające galopem przez pola. Krzyknęliśmy wszyscy razem do woźnicy „hony". Nabijamy strzelby, zsuwamy się ze sani i trzech nas strzela po dwa razy. Jeden dzik pada, drugi przystaje, trzeci utyka. Dwóch nas znowu siada na sanie i dalej za dzikami. Zbliżywszy się znowu strzelamy, ale już nie z takim skutkiem, bo zadyszani, zemocyonowani i brakuje nam kul, więc strzelamy śrótem. Jednak udaje się nam postrzelonego odłączyć i odwróciwszy od lasu gonimy go z ćwierć mili, aż nareszcie dobrze się zbliżywszy pakujemy mu dwa naboje śrótu w łeb i podnosimy go. Ale na tem nie koniec, cóż się stało z tamtym dzikiem, który tak pięknie rulował. Gdy myśliwi na drugich saniach zbliżyli się, by go podnieść, zrywa się i pomyka, goniąc go więc, strzelają wiele razy a gdy znowu się przewraca, jeden z myśliwych zbliża się i trąca go laską, dzik zrywa się, przewraca myśliwego (ale nie szkodliwie), atakuje konia, dostaje jeszcze jedną kulę i pada. Ale już tym razem nie na to, żeby się podnieść, lecz żeby go podniesiono. Żeśmy byli zadowoleni z tego polowania, żeśmy mieli sobie co opowiadać, jak ten strzelił, ów zobaczył, jak się wysypali ze sani, jak dzik atakował etc., tego każdy myśliwy łatwo się domyśli.

Przy tej sposobności zdam tu relacyę z polowania, które odbyło się kilka dni przedtem Skoro śniegi spadły, widząc, że się dziki trzymają w kniei, zaprosiłem kilku myśliwych i chociaż było 15 stopni mrozu, ruszyliśmy we czterech do lasu. Chciałem brać mioty bez tropienia za porządkiem, bo prawie w każdym spodziewałem się dzików, a bardzo pochodziły, więc trudno otropić a można by je spłoszyć. Jeden z myśliwych sprzeciwił się, więc zgadzam się wnet i idziemy tropić. Trzech nas poszło, każdy miał obejść jeden miot, a gdyby który dziki naszedł, miał strzelać. Ja ażeby obejść miot do około, musiałem przejść kilkadziesiąt kroków krzakami. Wszedłszy w nie słyszę, że dziki ruszają, staję jak wryty, dziki także stoją, czekam kwadrans, dziki słuchają, próbuję iść jak najciszej, dziki ruszają i widzę o 50 kroków przemykającego przez krzaki dużego odyńca. Strzeliłem i ten padł, ale za to kilkanaście innych wyniosło się z kniei i już więcej dzików nie widzieliśmy dnia tego. Padły jeszcze trzy kozły i widzieliśmy sarnę śnieżnej białości z żółtą łatką na szyi. W pierwszej chwili zobaczywszy to piękne stworzenie osłupiałem z podziwu, później żałowałem, żem nie strzelił, by ją zabić dla Muzeum hr. Włodz. Dzieduszyckiego. Ale może lepiej się stało dla sarneczki, że jeszcze sobie bujać będzie, a dla mnie żem może uniknął jakiego nieszczęścia, bo jak to wielu wierzy, każdego kto zastrzeli białą sarnę, jakaś nie miła przygoda spotkać musi. *T. C.*

Tuczempy 8. Stycznia 1886.

Dnia 19., 21. i 22. Grudnia 1885. odbyły się polowania w dobrach Ordynacyi Przeworskiej księcia Andrzeja Lubomirskiego, świetnym uwieńczone rezultatem. Pierwszego dnia w 5 strzelb na polach Nowosielec w dwóch „Streifach" branych czeskim sposobem, zabito 190 zajęcy i 1 kuropatwę. Drugi dzień przyniósł w 9 strzelb 116 zajęcy i 2 szkodniki, w polnych nagankach wsi Dębów, trzeci zaś dzień w lesie, rewirze Wesoła w 6 strzelb 33 zajęcy i 2 rogacze. Razem sztuk 344. Podnieść należy, że pierwszego dnia nikt z pięciu myśliwych mniej jak 30 zajęcy nie zabił, zaś hr. Zdzisław Tarnowski 50; dwaj inni myśliwi od 40—45. Na nasze krajowe stosunki wynik to rzeczywiście nadzwyczajny, dowodzący jak zwierzyna troskliwie pielęgnowana szybko się rozmnaża, świadczy zarazem o myśliwskiej zapobiegliwości i staraniach gościnnego Ordynata. Były w tym dniu chwile, gdy „Streif" był już zamknięty, że z dwoma strzelbami, w które każdy z nas był zaopatrzony, nie można było strzałom podołać, a dublety często się zdarzały. Pierwszy dzień był przez gospodarza zapowiedziany jako najświetniejszy, i obiecywano 200 zajęcy w 6 strzelb; jedna brakła, inaczej pewnie przeszło 200 byłoby padło, nie zważając na okoliczność, że nie wystarczyło czasu z powodu krótkiego dnia na jeszcze jeden miot (bażantarnię), który miał być brany, gdzie spodziewano się conajmniej 50 sztuk. Dużo zajęcy mimo gęstej nagonki przebijało się przez nią, jest więc wszelka nadzieja, że przyszłe polowanie zupełnie słabszem od tegorocznego nie będzie. Lisa w polu mimo znacznych obszarów naraz branych i remiz znajdujących się w tychże, nigdzie nie widziano, tylko w ostatnim leśnym miocie, co pewnie nie mało do ilości zajęcy się przyczyniło. *W. M.*

W y k a z u b i t e j z w i e r z y n y w p a ń s t w i e Z a t o r s k i e m. P o ż y t e c z n e j: sarna 1, zajęcy 957, bażantów 343, cietrzew 1, kuropatw 843, przepiórek 60, chruścieli 23, kaczek 193, słonek 12, dubeltów 10, bekasów 530, lisek (?) 24, królików 11, razem sztuk 3008; s z k o d l i w e j: lisów 11, tchórzów 55, łasic 154, psów 159, kotów 248, jastrzębi 118, krogulców 124, wron 425, srok 221, czapel 6, razem sztuk 1521. Ogólna liczba 4529. *Parzik.*

Z pod Dębicy Styczeń.

W dniu 5. Stycznia b. r. odbyło się w Pustkowie polowanie w 20 myśliwych i 40 nagonki, na którem padło 8 zajęcy, 3 rogacze i 3 kozy, dwie zaś postrzelono. Nie jeden z sz. czytelników odczytawszy to doniesienie wielce się zdziwi wiedząc, że niedawno jeszcze polowanie w Pustkowie należało do najlepszych w całej okolicy, a dziś widocznie upadło do tego stopnia, że zabito zaledwie 8 zajęcy i to 4 w polu, a 4 w lesie 1200 morgowym. Nadto panowie myśliwi wynagradzając sobie brak zajęcy bili kozy niemiłosiernie. Jakżeż usprawiedliwić takie barbarzyństwo i lekceważenie ustawy? Główna wina spada na leśniczego, widocznie nie myśliwego, lecz najpospolitszego strzelca, który swych obowiązków nie pojmuje. Jeżeli wreszcie panowie właściciele mniejszych i większych polowań wezmą sobie za zasadę podobne, jak w Pustkowie postępowanie, to ród sarni w naszej okolicy wkrótce zupełnie wyginie — prosimy przeto o rychłe zaradzenie złemu. *Z.*

Z Z w i n i a c z a. Dnia 21. i 22. Grudnia zabito na polowaniach w lasach dóbr Zwiniacza w 12 strzelb 32 zajęcy, 2 rogacze i lisa. *Fr. Rawicz Mysłowski.*

Boratyn (pow. Sokalski) 28. Stycznia.

Na polowaniu, które się odbyło 24. Grudnia w lasku około 130-morgowym, ubito w 9 strzelb w przeciągu trzech godzin: 5 lisów i 28 zajęcy. Rezultat ten na tak małym terenie uważać można za bardzo dobry. Położenie lasu sprzyja rozwojowi zwierzyny, na przestrzeni milowej w koło nie ma lasu, to też cała z pól zwierzyna garnie się doń chętnie. Pięć lub sześć lat wstecz wypadały polowania o wiele świetniej, zabijano w tych samych warunkach 40 — 50 zajęcy, ale wtedy lisów wcale nie było. Dodać należy, że poluje się w tym lasku tylko raz w roku. Od czasu, jak się pan mekita na dobre rozgospodarował, zmniejszyła się ilość zajęcy najmniej o połowę. Mam nadzieję, że uda się z czasem wytępić wszystkie lisy, a tem samem podnieść stan zajęcy. W ciągu bieżącego roku padło ogółem 25 lisów. *J. S.*

Stan zwierzyny pomnożył się w Poznańskiem wskutek racyonalnej ochrony ostatnimi czasy tak znacznie, że zrównał się z Saksonią i Szląskiem. I tak zabito w ciągu dwóch tygodni w ordynacyi Rydzyńskiej ks. Antoniego Sułkowskiego 1490 zajęcy, 41 bażantów i 4 jelenie, a w dobrach hrabiów Mielżyńskich (Maxymiliana i Macieja) w tym samym czasie 1400 zajęcy i 7 lisów. *Kuryer Lwowski.*

Dnia 24. Grudnia polowano w Trofanówce, w powiecie Kołomyjskim w lasku obejmującym zaledwie 80 morgów, półtory godziny, w 8 strzelb i przy dość lichem strzelaniu padło 54 zajęcy. Dodać należy, że z powodu braku czasu najlepszy miot nie goniono. *S. J.*

Przewłoka 1886.

W Zaleszczykach u bar. Brunickiego polowaliśmy 17, 18 i 19. Grudnia. Czas był śliczny. Pierwszego dnia hr. St. Gołuchowski i ja zabiliśmy 45 sztuk t. j. 44 zajęcy i 1 lisa. Rogacz żaden nie wyszedł na strzał, choć było ich dosyć. W następnych dniach w 7 strzelb ubito ogółem 175 zajęcy, 2 lisy i 3 rogacze. Rogacze źle wychodziły.

Ludwik Szawłowski.

W Krukienicach ubito w r. 1885. zwierząt drapieżnych: lisów 9, jastrzębi 16, wron 14, srok 11, borsuków 2, wydr 5, razem sztuk 57. Pożytecznych: dzików 9, rogaczy 27, zajęcy 38, słonek 38, kuropatw 51, przepiórek 12, chruścieli 30, kaczek 57, kszyków 349, kulików 24, dubeltów 7, razem sztuk 644. Liczba ogólna 699.

Przy tej sposobności pozwalam sobie rzucić kilka słów o myśliwstwie w ogóle, z powodu tak często w tych czasach powtarzających się wypadków na polowaniach. Niestety namnożyła się ogromna liczba pseudo-myśliwych, są dwory, w których każdego kto się pojawi, pasują na myśliwego, choćby się nawet wypraszał i zasłaniał nieznajomością rzeczy, a jeśli się takiemu improwizowanemu myśliwemu szczęśliwym trafem uda zamordować zająca, to już uważany jest za skończonego łowca. Tacy myśliwi, bez rutyny i doświadczenia strzelają zwykle do każdego poruszającego się w krzakach przedmiotu i ztąd to pochodzą głównie smutne wypadki. Wytrawny myśliwy tego nie uczyni, ani też strzeli do zwierza w miot, gdy naganiacze już się zbliżają, lub do przedmiotu, którego dokładnie nie rozpoznał. Myśliwy powinien nabyć teoretycznych wiadomości, wyrobić w sobie zimną krew, ostrożnie i umiejętnie obchodzić się z bronią, bystro i wprawnie rozpoznawać przedmioty, znać dokładnie naturę i właściwości zwierzyny, więcej mieć zamiłowania w jej konserwowaniu, jak wybijaniu, być przygotowanym w każdej chwili do chłodnego strzału, znać systemy polowania, umieć tropić zwierza w każdej porze, nie uprzedzać się i nie upierać w swojem zdaniu, wreszcie celnie strzelać — ale nie do człowieka. Nie raz się już zdarzało, że wskutek zarozumiałości i oporu jednego myśliwego, któremu uprzejmy gospodarz ustąpił, całe polowanie się popsuło. Tak też zdarzyło się 12. Grudnia w Krukienicach. Ja chciałem stawiać nagonkę od strony wschodniej i południowej, myśliwych zaś od zachodniej i północnej, inaczej się stało wskutek narzucenia swego zdania i uporu jednego z panów myśliwych. Nieszczęście chciało, że trop dzików do barłogu prowadził wzdłuż linii południowej, a więc pod myśliwych, gdzie według mego planu miała stać nagonka, w takim razie chmielarz, owa nieszczęsna ofiara złego zarządzenia, byłby szedł pod pogonkę, nie pod myśliwych i nie byłoby smutnej katastrofy. W końcu winienem objaśnić zwykły nasz sposób polowania na dziki w Krukienicach. Dziki nasze nigdy prawie na myśliwych nie wychodzą, zawsze uderzają na pogonkę, choćby jej było najwięcej. Nie raz się zdarzało, że który z dzików skaleczył naganiacza i przebił się. Otóż z tego powodu obtropiwszy dziki stawiamy z trzech stron chłopów, a z jednej myśliwych. Jeden rozstawia myśliwych, drugi naganiaczy tak, iżby się zeszli z sobą. Po takiem zamknięciu miotu odzywa się trąbka i gon się rozpoczyna. Jeden ze straży lasowej idzie za tropami dzików, a gdy dojdzie do barłogu i dziki ruszy, rusza szybko za nimi i niepokoi ich w celu przeszkodzenia im w wysłuchiwaniu, oraz obwieszcza głosem, dokąd idą. W taki sposób dziki słysząc z trzech stron hałas idą na myśliwych. Często jednak godzinę i dłużej chodzą po miocie, nim wyjdą na myśliwych. Tym trybem zabiliśmy w tym roku 9 dzików i — niestety jednego chmielarza. *Jan Ostrzechowski.*

Niniejszom mamy zaszczyt zawiadomić sz. Redakcyę o zawiązaniu się Towarzystwa myśliwych w Przemyślanach. Statuta Towarzystwa już zatwierdzone przez c. k. Namiestnictwo. Wydział ukonstytuował się wybierając prezesem p. Władysława Czerkawskiego, właściciela części dóbr Chlebowice Świrskie i Meryszczów, zastępcą prezesa p. Antoniego Harasiewicza c. k. kapitana na pensyi i burmistrza tutejszego, sekretarzem p. Franciszka Obmińskiego. Upraszamy o łaskawe poparcie.

P. R. Nowo zawiązane Towarzystwo witamy serdecznie, życząc mu powodzenia, oraz prosimy o nadesłanie statutów i o bliższe szczegóły zakresu działania.

Z Rzeszowskiego, w Styczniu 1886 r.

W dniach 7. i 8. b. m. w dobrach hr. Zdzisława Tyszkiewicza w Weryni odbyły się polowania, które niezawodnie do najlepszych w kraju zaliczyć można. Pierwszego dnia w 14 strzelb w rewirze Kłapówka zabito w lesie 180 zajęcy, rogacza i kunę, drugiego dnia w remizach Kolbuszowskich w kociołkach i częściowo w rewirze Wereńskim 169 zajęcy, razem zatem sztuk 351. Niezawodnie zginęłoby zwierzyny znacznie więcej, gdyby nie silne zawieruchy, które po południu zrywały się każdego dnia tak, iż najlepsze mioty leśne musiano opuścić. W jednym Kociołku obszaru około 150 morgowym, drugiego dnia zabito 50 zajęcy. Ten stan świetny zwierzyny dowodzi wymownie, do czego nawet w ciężkich stosunkach naszych doprowadzić można, jeżeli kto chce i umie. Hr. Zdzisław Tyszkiewicz chociaż sam nie należy do zbyt zapalonych myśliwych, to jednak wiedziony poczuciem obowiązku dania dobrego przykładu, jak niemniej niezwykłym darem organizacyjnym i administracyjnym, zwrócił uwagę i na tę gałęź gospodarstwa krajowego i staraniem, porządkiem, rygorem, pieczołowitością w krótkim czasie doprowadził do tak świetnych rezultatów. Trzeba być na polowaniu w Weryni, aby widzieć ten ład, tę subordynacyę, to organizacyjne wyrobienie służby leśnej, tę wojskową prawdziwie karność i manewra pogonki, wszystko odbywa się cicho, spokojnie, szybko, niesłychać żadnego rozkazu, a wszystko wybornie idzie. Dziesiątki strzałów w każdej kniei zadowalają najwybredniejszego myśliwego, a znana gościność polsko-litewska gospodarza czynią chwile spędzone w Weryni na długo niezapomnianemi. *K.*

Nie braknie zapewne w tym roku myśliwskim szanownym czytelnikom „Łowca“ opisów o świetnych rezultatach łowów, odbytych w różnych częściach kraju. Pozwalam sobie także jako jeden z uczestników odbytego polowania u Jana hr. Stadnickiego w Milówce i Rożnowie w dn. 9., 11. i 12. Listopada r. z., podzielić się z czytelnikami miłem wielce wrażeniem, które tamże odniosłem, zwłaszcza gdy się zważy, iż polowanie odbywało się górach wcale już poważnych, powiatu Sądeckiego. Rezultatem łowów były: 3 dziki, 2 rogacze, 48 zajęcy, 6 lisów i 2 kuropatwy na strzałów 130. Zaprzeczyć się nie da, iż polowanie w górach jest nader uciążliwem nietylko dla polujących, lecz co najważniejsza dla organizujących takowe, pod tym też względem wrażeniu jak najlepszemu uległem, a dowodzi słuszności mego zapatrywania rezultat świetny łowów. Oprócz tego nasuwa się mimowoli uwaga ogólniejszej natury każdemu, kto miał sposobność na tych do niedawna nagich stokach gór i obnażonych skałach i urwiskach chwilę się zatrzymać i co najwięcej pięknym widokiem oko swoje nakarmić. Utwierdza się przekonanie, że równolegle z umiejętną kulturą lasową i stworzeniem na tych naszych z okrycia ogołoconych górach pewnego dla zwierzyny schronienia, idzie w parze jako już naturalna konsekwencya pierwszego, obfity w miarę możności wyżywienia się tamże zwierzostan. Oby to służyło dla wielu właścicieli górskich okolic kraju naszego za zachęcający i naśladowania godny przykład. Dodać tu jeszcze zmuszony jestem, iż polowanie powyższe odbyło się z nagonką i bez pośrednictwa tych tak wielce na tegorocznym Sejmie krajowym w obronę branych ogarów, a rezultat łowów stanowić może jasny i zaprzeczyć się nie dający dowód, że ten użyty w tym wypadku pierwszy sposób polowania i to w górach zupełnie Sanockim się równających, zasługuje pod każdym względem na pierwszeństwo, i że on przy dobrej woli i w górach jest możliwym. *S. S.*

---

11. Stycznia odbyło się polowanie w Kutkorzu u hr. Henryka Łączyńskiego z wielkiemi przeszkodami, gdyż na dziesięciu zaproszonych, przybyło pięciu, i to nie jak zwykle na tydzień, tylko na jeden dzień. Najważniejszy powód był, że w tymże samym czasie odbyły się cztery większe polowania, a zaprosiny, listy i telegramy krzyżowały się jak nigdy, przytem służba wojskowa, mowy sejmowe i inne przeszkody! Pomimo tego polowanie świetnie się powiodło, bo w sześć strzelb strzałów padło 132 i zabito 68 sztuk zwierzyny mianowicie 2 dziki, 8 rogaczy, 7 lisów i 51 zajęcy. Sarny formalnie się roiły, i żeby nie to, że pierwsze strzały były do dzików, mogłoby najmniej paść 30 rogaczy, ja sam poznałem jedenaście, ośm musiałem przepuścić i tylko trzy zabiłem, przytem starego odyńca i 8 zajęcy. Na Bojkowskim błocie dzików było sztuk 12, które się podzieliły na dwie równe części, jedna część wyszła bez strzału lewem skrzydłem, a druga na linię strzelców. Do dzików padło strzałów sześć, na czysto chybiono do samicy i do dwuletniego warchlaka. Odyniec pierwszym strzałem był wysoko strzelony, druga kula przeszyła mu serce. Drugą zabitą sztuką był dwuletni warchlak, którego w nocy dopiero przywieziono. Za krótko trwały te miłe chwile, bo obcinając dziki, dopiero koło jedenastej godziny zaczęliśmy polować. Na drugi dzień 9 dzików powróciło do kniei. W tych dniach mamy dalej polować, z czego się serdecznie cieszę, że te knieje i miły a gościnny Kutkorz znowu powitam. *M. hr. Tyszkiewicz.*

Żużel 10. Grudnia 1885.

Łowienie kun przez chłopów. Kuna jest zwierzęciem drapieżnem i robi często znaczne szkody gospodyniom w drobiu. Daje przyjemne, ładne i drogie futro — tumaki krajowe. Z ogonów żydzi robią czapki świąteczne. Te dwie okoliczności, szkody wyrządzane i drogie futro, są przyczyną; że chłopi łapią ją z namiętnością dla zysku. U nas są dwa rodzaje kun: lasowa, żółto bronzowa i domowa fioletowo-bronzowa z czerwonym ogonem, czarniawą głową i łapkami, a zupełnie

białem podgardlem. Pierwsza żyje w większych lasach, druga trzyma się na wsi. W nocy prowadzi swe rozbójnicze rzemiosło. W dzień przesiaduje w budynkach gospodarskich, najczęściej w szopach i stodołach pełnych zboża. Przez uleżenie się zboża powstaje pod płatwą próżne miejsce, rodzaj tunelu, którym, gdy kuna dojdzie do jakiego słupa w środku zboża stojącego, spuszcza się koło niego w dół. Tu robi sobie legowisko, w którem dzień przesypia. Gdy obok nieostrożna mysz się pojawi, sprawia miłe przebudzenie - podkurek dla zaspanej kuny.

W wyżej wymienionej wsi, w której mieszkam, są dwaj gospodarze Toporowski i Wolski, których całozimowem zajęciem jest łowienie kun. Do pomocy mają dwa psy Jeden ciężki biały kundys Biłyk; drugi mięszaniec z legawcem, czarny Kruczek. Nietylko w swojej wsi, lecz w całej okolicy na milę i więcej w promieniu są oni znani. Gdy padnie ponowa, zaraz z brzaskiem dnia obchodzą wieś dokoła, szukając tropu kuny. Znalezionej już nie opuszczą, a jeśli nie ma, to idą po innych wsiach szukając, czy zdradziecki śnieg nie wyda im tajemnicy. Skoro się ukażą ci myśliwi w której z okolicznych wsi, zaraz nadobne gosposie zapraszają i traktują najlepszymi przysmakami obrońców kur i gęsi przed ich srogim nieprzyjacielem — kuną. Nic tym gościom nie odmówią, nie zapominając i o pieskach.

Kuna czasem jednej nocy i parę mil zrobi, a prześladowcy tropią ją niezmordowanie, dokąd nie dojdą do budynku, w którym się znajduje. Obtropiwszy kunę w jakiej stodole, rozpoczynają właściwe polowanie. Jeden z nich z Kruczkiem idzie do środka budynku stanowiąc nagonkę, drugi z Biłykiem stoi na dworze, kierując się podług nawoływań z wewnątrz, z której strony zwierz spodziewany. Kruczek z chłopem po zbożu, po wszystkich dziurach, łażą, hałasują, by kunę z legowiska wypłoszyć. Kruczek posiadając trochę węchu, jak jamnik łazi wśród snopów, aż się dostaje do przyczajonej kuny, która dopiero wtedy ucieka z budynku. Namiętny Kruczek często tak zapcha się w zboże, że trzeba z godzinę snopy odrzucać, by go wydobyć. Kuna ucieka na dachy, przeskakuje do innych budynków, gdzie się powtarza to samo, dokąd jej nie zmuszą do zeskoczenia na ziemię. Podczas tego uganiania Biłyk niecierpliwie oczekuje, wie on dobrze, co się dzieje, skoro tylko kuna skoczy na ziemię, rzuca się na nią, chwyta z wierzchu i trzepie nią, by nie mogła go ukąsić i niepuści, dokąd chłopi go nie odpędzą, a kunę niezdolną już do ucieczki dobiją pałką. Kuna ma twardą żywotność, pomimo silnych razów w głowę, długo daje znaki życia. Czasem, gdy dużo jest widzów, dużo małych chłopców ciekawych, a każdy chce pomagać, kuna skoczywszy z dachu pomiędzy ludzi wymknie się, i nim ją Biłyk dopędzi, już w jakim innym budynku się schroni, lecz bez widzów zawsze się polowanie udaje.

Dziś rano spotkałem chłopów śledzących trop kuny. Przypatrzmy mu się: stopę ma kuna tak wielką jak kot, skacząc znaczy dwoma łapkami obok siebie, które to pary są stosunkowo dość daleko jedna od drugiej. Powiedzieli mi chłopi, że tej nocy przyszły dwie kuny i obie znajdują się we wsi, ale jeszcze nie wiedzą gdzie. Po południu powiedziano mi, że kuna uciekła i jest na jabłoni, poszedłem więc tam ze strzelbą. Zastałem kunę siedzącą na gałęzi jak bardzo długi, wielki kot, nie spuszczała swych maleńkich oczów z psa, nie troszcząc się wcale o ludzi, których było wiele. Zrobiłem *un coups de grâce*, by skrócić jej pobyt ziemski, spadła, pies strzepnął nią kilka razy, poczém odebrano mu ją, by futra nie psuł. Przez dwie ostatnie zimy, chociaż niesprzyjające, bo śniegu mało było, złapali ci dwaj chłopi ośmaście kun. z których mam cały paletot bardzo lekki i przyjemny do noszenia.

T. W.

Uroż Styczeń.

Dla wzbogacenia kroniki i uzupełnienia statystyki łowieckiej za rok ubiegły, podaję do wiadomości szanownej Redakcyi, że i tutejsze knieje chociaż zaledwo na podgórzu leżące, nie są wolne od napaści najsroższych tępicieli zwierzyny płowej. Przy sposobności polowania na rogacze i drobniejszą zwierzynę, zarządzonego przez tutejszego właściciela p. Jana Komarnickiego w kniei „Terebnic" po jednej stronie drogi i trwającego przez parę godzin, uwiadomiła straż leśna, że otropiła w kniei w „Dębinie", po przeciwległej stronie drogi o paręset kroków odległej, dużego dzika. Już pod wieczór ruszyła nieliczna drużyna myśliwska w 6 strzelb na oznaczone miejsce. Surowy zakaz właściciela strzelania do jakiejkolwiek innej zwierzyny, odniósł tym razem niespodziewany skutek, gdy bowiem bezkarnie przemknęły zające, a p. Komarnicki nie mając już nadziei spotkania się z oczekiwanym odyńcem, prawie zdecydowany był posłać kulkę za szarakiem, dostrzegł w niewielkiej odległości za tropem zająca w łukowatych skokach gąszczem podążającego rabusia, którego na razie miał za wilka, i dopiero w chwili ściągania na przesmyku rozpoznał w gościu „rysia". Była to bardzo piękna i rosła samica ugodzona celnym strzałem, mierząca 1·30 długości i prawie 56 cm. wysokości. Wyjaśniła się więc przyczyna, dlaczego polowanie na sarny w przyległej kniei nie odniosło przewidywanego rezultatu, chociaż przy pilnej lustracyi lasów, nawet przez samego doświadczonego gospodarza, nie podobna przypuścić, by ryś nie wytropiony długo był gościł w tych stronach.

Muczka.

Dnia 7, 8 i 9 Stycznia 1886. odbyło się w dobrach hr. Artura Potockiego należących do państwa Krzeszowskiego polowanie, na którem obecni byli Roman, Józef, Andrzej, Artur, August hr. Potoccy, Ksawery hr. Branicki, Ludwik hr. Wodzicki, Adam hr. Sierakowski, Andrzej hr. Zamoyski, Koźmian i Teofil Żurowski. Polowaliśmy nie całe trzy dni i zabili 607 sztuk, mianowicie 6 jeleni, 3 rogacze, królików 7, lisa jednego, kuropatw 5, sów 5, bażantów 132, zajęcy 448. Najwięcej zajęcy zastaliśmy w polnych miotach w Spytkowicach. Do polowania mieliśmy zły czas — śnieg z zawierzuchą, co w ostatnim dniu osobliwie było taką przeszkodą, że pogonka przez gąszcze okiścią okryte idąc, zwierza na linje wygonić nie mogła. Polowanie było wzorowo urządzone i śmiało twierdzić mogę, że do najlepszych w kraju policzonem być może.

Teofil Żurowski.

W dniu 28. Grudnia 1885. polowaliśmy w Dierzbiatynie u pana Antoniego Kozickiego, w kniejce 120 morgowej w 8 strzelb padło 86 zajęcy, a co najmniej dwa razy tyle było widzianych!, również widziano sarny, które jednak ostrożne na strzał nie wyszły. Tak piękny zwierzostan zaimponował nam wszystkim i jest to najlepszym dowodem, do czego troskliwem pielęgnowaniem zwierzyny dojść można, zwłaszcza gdy się weźmie na uwagę, że kniejkę tę przecina kolej i kilkanaście pociągów dziennie tamtędy przechodzi, a co gorsze, że właściciele graniczących z Dierzbiatynem lasów nie odznaczają się wcale pielęgnowaniem zwierzyny i polując sami lub każąc polować, by mieć pieczyste, niszczą niemiłosiernie biedne zajączki. *J. B.*

Myszków. Styczeń.

Upraszam o zamieszczenie niniejszego sprawozdania z polowań, które się odbyły zeszłego tygodnia w powiecie Zaleszczyckim. 1. W Lisowcach u p. W Orłowskiego w kilka strzelb w 6 miotach ubito 30 zajęcy i 6 rogaczy. 2. W Gródku pod kierownictwem dzierzawcy dóbr p. E. Sznurpfeila w 10 strzelb w 7 miotach 52 zajęcy i 2 lisy. 3. W Torskiem u p. Włodz. Siemiginowskiego w kilka strzelb w 6 miotach 48 zajęcy i 5 rogaczy. Drużynę łowiecką wszędzie łaskawi gospodarstwo podejmywali z staropolską gościnnością, serdeczne więc „Bóg zapłać".

M. K.

Sokołow (Król. Pols.). Styczeń.

W Warszawie wyszedł „Rocznik myśliwski" wydany staraniem p. J. Biesiekierskiego, który widząc, w jakim upadku znajduje się łowiectwo w Królestwie, chciałby zwrócić uwagę ogółu na ten przedmiot. W tym celu napisany artykuł p. S. Rewieńskiego zachęca myśliwych do zawiązania stowarzyszenia myśliwskiego szczególniej w celu ochrony zwierzyny. Rocznik za r. b. o wiele przewyższa zeszłoroczny doborem artykułów, zawiera bowiem opisy zająca i kuropatwy, mówi o broni myśliwskiej od najdawniejszych czasów, a kończy bronią systemu Piepera. Następnie dosyć sporo miejsca poświęcono hodowli psów, chorobom psim wewnętrznym i zewnętrznym i sposobom ich leczenia. Rocznik zawiera także tablice ochrony zwierzyny w Królestwie a w końcu mieści się kilka powiastek czyli gawęd myśliwskich. Uważam za bardzo szczęśliwy pomysł autorów Rocznika, że w następnych latach mają być powyższe kwestye dalej rozwijane, a mianowicie pomieszczane będą monografie innych zwierząt, w oddziale broni rozmaite przyrządy i amunicya tak, że kilka lub kilkanaście roczników będzie stanowić obszerną całość w kwestyach łowiectwa. Sposób traktowania popularny i przystępny także za zasługę autorom poczytać należy, gdyż pożądaną jest rzeczą, aby jak najszersze koła mogły się zainteresować ochroną zwierzyny i rozumieć tendencyą dziełka. W ciągu ostatnich kilkunastu lat jest to wydawnictwo jedynym objawem dowodzącym, że jest garstka ludzi, którym sprawa łowiectwa leży na sercu a zarazem służy to za dowód, jak apatycznym jest cały ogół, gdy dotychczas nie objawił żadnych dążeń w kwestyi nader ważnej a tak po macoszemu traktowanej. Bardzo jest pożądanem, aby nawoływania te znalazły odgłos w naszem społeczeństwie, iżby ono za przykładem Galicyi zaprowadziło u siebie racyonalną hodowlę zwierzymy i utworzyło choć jedno towarzystwo myśliwskie, którego brak tak dotkliwie czuć się nam daje.

P. Turobiński.

Dnia 4. Stycznia odbyło się u hr. Jana Tarnowskiego w Chorzelowie polowanie, na którem 13 myśliwych ubiło w 6 miotach polnych 194 zajęcy 1 lisa i 1 kuropatwę. Na usilne prośby niektórych pozostałych gości zarządził uprzejmy gospodarz nazajutrz małe polowanie w lesie, na którem mimo rzęsistego deszczu i nie sprzyjającego czasu ubito 20 zajęcy i 4 rogacze. *H. B.*

Mojem zdaniem powinien nasz kalendarz dać wiadomość, jak to dawniej zwierzynę rachowano na sztuki. Bardzo się często zdarza, że po polowaniu osobliwie udanym, a przy dobrym obiedzie jest ochota wypić zdrowie króla polowania, w tym względzie różnią się zdania, kogo nim mianować, czy tego, który zabił najwięcej sztuk zwierzyny, czy też ubijającego szlachetniejsze jej gatunki. Znalazłem między papierami mego dziada, znakomitego w swoim czasie myśliwego notatkę, dającą w tym względzie wyjaśnienie: Niedźwiedź i odyniec sztuk 20, Łoś, jeleń ryś sztuk 15, Daniel, rogacz (sarna), wilk sztuk 10, Wydra, żbik sztuk 10, Lis, borsuk sztuk 6, Wilk w lesie, a lis przed naganką sztuk 5. Dzik warchlak sztuk 4, Gluszec, drop sztuk 3, Bażant, cietrzew, jarząbek sztuk 2, Zając, kuna, słomka, kuropatwa, z kaczek cyranka, podgorzałka, przepiórka itd. sztuk 1, kaczka krzyżówka, chruściel i kurka wodna sztuk $^1/_2$. Otóż w dawnych czasach trzymano myśliwych po dworach polskich, dawano im pewną ilość nabojów, prochu i śrótu i był obowiązany pewną ilość sztuk zwierzyny oddać, jeżeli n. p. zabił kozła, miał 10 sztuk. Ile sztuk oddał nad oznaczoną liczbę, osobno mu za każdą sztukę płacono. Wkrótce przyślę sz. Redakcyi artykulik o polowaniach na Ukrainie z gończymi psami na lisy w rudach, polowanie to u nas wcale nie znane. *Władysław Bużenin Mniszek.*

P. R. Rachubę powyższą sztuk zwierzyny podaliśmy dawniej w Łowcu, znają ją dawny Sylwan i nieoceniony Reumann. W kalendarzu jej nie umieszczamy, bo wyszła ona dziś zupełnie z używania i z wielu racyonalnych powodów nie da się na nowo wprowadzić.

Dziwiono się niejednokrotnie, że Towarzystwo myśliwskie powiatu Kolbuszowskiego nie składa w „Łowcu" sprawozdań i nie daje znaku życia. Trudno to udawać życie, gdy się zaledwie dyszy, trudno chwalić w sprawozdaniach jakikolwiek postęp w racyonalnem łowiectwie, jeżeli postęp ów zaledwie nieco się znaczy, a skutki założenia Towarzystwa myśliwskiego może chyba następne pokolenie dostrzedz będzie mogło. Zawiązując Towarzystwo w r. 1881. starano się zainteresować szersze koła tutejszego powiatu tą nową instytucyą, która zresztą nas ani *bene natos* ani *possesionatos* najmniej interesować była powinna. Sądziliśmy, że obszary dworskie, którym kłusownictwo już do żywego dogryzło, połączą swoje siły z naszemi i utworzoną falangę przeciw kompletnie uorganizowanym opryszkom myśliwskim, a opryszków takich prowadzących swe rzemiosło w tej dawnej puszczy sandomirskiej od pradziada, chyba żaden inny powiat wykazaćby nie potrafił. Usiłowania Towarzystwa myśliwskiego były jednak daremne. Kilku właścicieli większych posiadłości należy wprawdzie do Towarzystwa, ale nie wierzą oni w jego dobre skutki, a o poparciu przy dzierżawie polowania na gruntach włościańskich mowy nawet nie ma. Celem Towarzystwa było wydzierżawienie polowań na gruntach włościańskich w celu odwiedzenia włościan od kłusownictwa. O ile fundusze Towarzystwa wystarczały, wydzierżawiono polowanie mianowicie w gminach Poręby kupieńskie, Trześń, Przyłęka i Kopciach. W gminach, w których polowanie obszar dworski we własnym interesie zadzierżawić był powinien, Towarzystwo myśliwskie przy licytacyach utrzymać się nie mogło, bo czynsze doszły do niebywałej dotąd wysokości, płacono bowiem za obszary gminom, na których obecnie ani trzech nie ma zajęcy, po 40 do 60 złr. Dworowi było to za drogo, zadzierżawili więc włościanie i kłusują dalej. O przytrzymaniu kłusownika przez żandarmeryę, o zapobieżeniu, aby dzierżawca-włościanin nie dobierał sobie kłusowników do polowania, nie słyszałem dotąd nigdy, znam tylko jeden wypadek odebrania strzelby jednemu z najstarszych myśliwych tutejszych na polowaniu Towarzystwa myśl. dla tego jedynie, iż zapomniał wziąć z sobą kartę na broń, byłoby to zresztą słusznem, gdyby obok tego nie zapomniano, iż są gminy, w których, jak to dobrze Starostwu wiadomo, wszyscy włościanie prawdopodobnie nie dla samej parady posiadają strzelby. Nie od rzeczy będzie wspomnieć tutaj, iż mamy w powiecie cztery rodzaje kłusowników. Najzacietszym bo na pół uprzywilejowanym wrogiem każdej zwierzyny, jest w pierwszym rzędzie straż leśna w tych rewirach, w których właściciel nie mieszka w powiecie lub o łowiectwo wcale się nie troszczy. Znam rewir, w którym od 1. Października po dzień dzisiejszy odbyło się już sto kilkanaście polowań, a jeszcze kilkadziesiąt jest w projekcie. Na takich to polowaniach biorą udział oprócz straży leśnej wszyscy kłusownicy sąsiednich wsi, a gdy zastęp tych szlachetnych łowców nie skompletowany, przyjmuje się młodzież wiejską mogącą się wykazać, iż dziaduś lub tatuś pozostawili w sukcesyi strzelbinę dobrej sławy. Co się dzieje ze zwierzyną na tych polowaniach ubitą, Bóg jeden raczy wiedzieć, właściciel rewiru otrzymał bowiem dotąd tylko jednego rogacza. Drugi zastęp kłusowników jest o wiele szlachetniejszy, bo postępuje otwarcie. Są to włościanie kilkunastu wsi uorganizowani w bandę i polujący regularnie 4 noce w miesiącu na pełni księżyca w całym kompleksie lasów, ciągnących się od powiatu Ropczyckiego wzdłuż Kolbuszowskiego aż po Tarnobrzeg. Polowanie odbywa się prawidłowo, stanowiska w każdym miocie zajęte są jak najskrupulatniej, nagonka rekrutująca się z synów i wnuków pełni sumiennie swoją powinność, strzały padają gęsto, straż leśna podziwia z ukrycia celność strzałów, ubity zwierz pakuje się na furgony i cały zastęp tych amatorów łowiectwa rusza spokojnie w rewir najbliższy. Pochodowi temu nie zastępuje się drogi, bo siekańce świszczą, a leśny mając przykład, iż poprzednika jego znaleziono martwego na śniegu, przycupnie jak zając pod krzakiem i gorąco się modli, aby go nie spostrzeżono. Nie do uwierzenia a jednak prawdziwe. Znam obecnie włościana, który należał ongi do tego towarzystwa, opowiadał mi szczegóły takiej wyprawy, obecnie wypisał się z grona tych nocnych myśliwych, bo jak twierdzi, obowiązek leśnego, który przyjął, jest spokojniejszy a nie dopuszcza wydalenia się z domu na dni kilka. Na ten zastęp opryszków potrzebaby innych sił jak te, któremi Towarzystwo myśliwskie rozporządza.

Do trzeciego rodzaju zaliczamy conajmniej każdego drugiego włościanina wszystkich wsi powiatu, wychodzącego z gołemi rękami w pole za zającem w Kopnie. Ten gatunek strzelców nie wynosi strzelby w pole, bo ją tam już ma ukrytą, a chociaż usłyszysz strzał w polu i dobiegniesz do którego z kręcących się po polu opryszków, to bądź z góry upewniony, że oprócz kozika w kieszeni i kapczuka nic więcej nie znajdziesz. Jest to spryt po dziadku i ojcu odziedziczony i niemal jedyny, jakim się chłop nasz szczycić może. Czwarty wreszcie gatunek kłusownika jest najmniej liczny, do tego należą wszyscy emeryci-starcy i podrostki, którzy nie mogąc wyjść w pole lub nie umiejąc władać bronią, wyczekują mroźnej i śnieżnej zimy, aby przywabić żerem zająca i kuropatwę pod stodołę i złowić je w sidła. Otóż takie są stosunki łowieckie naszego powiatu, cóż w obec niego Towarzystwo myśliwskie składające się z 12 członków z dochodami 60 złr. rocznie uczynić może, zwłaszcza jeżeli zamożni właściciele dóbr nie mieszkają w powiecie, a mniej zamożni nie troszczą się o łowiectwo, mając ze „sporyszem" i „cłami" dosyć do czynienia. Powiat tutejszy tak dalece oswoił się już z kłusownictwem, iż uważa to za *malum necessarium* i wtedy tylko wydaje okrzyk grozy, jeżeli który z urzędników dzierżawiących polowanie na gruntach włościańskich, poważy się w wolnej od zajęć chwili to jest w Niedzielę po południu wyjść w pole ze strzelbą i ubić wygłodzonego na piaskach szaraka. Jedynie w dobrach hr. Tyszkiewicza uorganizowano straż lasową w sposób odpowiedni, polowanie na wszystkich gruntach gminnych do klucza należących, dzierżawi sam właściciel, służba lasowa pilnuje dniem i nocą zadzierżawionych przestrzeni, nic więc dziwnego, że kłusownicy nie mogą tam zapuszczać swoich zagonów. Wskutek tego rezultaty polowań dworskich muszą być stosunkowo świetnymi. W dniu 7. Stycznia polowano w rewirze Kłapowskim u hr. Tyszkiewicza i ubito w 12 strzelb 180 zajęcy, 1 rogacza i jedną kunę, dnia 8. Stycznia polował hr. Tyszkiewicz w kociołku na gruntach kolbuszowskich w 14 strzelb i na rozkładzie leżało 167 zajęcy, w dwu dniach spolowano 347 zajęcy. Jak na Kolbuszowę cyfra to bardzo poważna.

G.

Starzyska. Styczeń.

Chcę opowiedzieć czytelnikom Łowca przygodę, która zdarzyła się w Zawidowicach tej jesieni. Na wiosnę przyniesiono synowi mojemu malutką liszkę, którą z ręki karmiąc wychował ku ogólnej przyjemności całego domu, istnemu nieszczęściu zaś klucznicy. Liszka miła, wesoła i przebiegła chodziła do pokojów, skakała po kanapach, brała jadło z ręki, dała się głaskać, brać na kolana, myszkując po polach za miliardem myszy, które nas w tym roku nawiedziły, na zawołanie „potworek" pędem przybywał i szła z nami koło nogi jak pies legawy, co więcej jadła z jednej misy z legawcem i chwytała kury i indyki wraz z młodą charcicą! Cały dom ją polubił i ja nawet, który prócz konia i psa nie cierpię innych zwierząt koło siebie, musiałem kapitulować, gdy jednego razu stojąc zamyślony, ciągłem szturkaniem w nogę obudzony, obaczyłem liszkę, która nie doczekawszy się spodziewanych pieszczot, upomniała się o nie tym sposobem. Tak też wyrosła liszka piękna i okazała, lubiana od wszystkich, produkowana gościom przybyłym jako istny cud,

a choć dewastacya w kurniku była już dokonaną i tylko kaczki, któremi dotąd gardziła, pozostały o tej klęsce zapomniano. Nadeszła pora polowań z chartami, a że w Zawidowicach istny step, role i łąki jak daleko oko sięga, przeto dawniej sam, a obecnie synowie moi z całą młodzieńczą zapalczywością temu sportowi się oddają. Około 50 zajęcy i kilkanaście lisów padło ofiarą niezawodnych naszych chartów, i gdy łaskawy jaki moich synów kolega do nas zawitał, wyjeżdżano na łowy. Tak też przy końcu Października przybył p. M. B. w odwidziny, wieczorem produkowano mu naturalnie „potworka“, ubawiono się z nim do syta a na drugi dzień wyjechano w pole z chartami. Młodzi myśliwi przytroczyli już trzy zające, gdy nagle syn mój upatruje w ściernisku lisa, więc hecują go i gdy się porwał, puszczają ze smyczy charty. W tem o zgrozo! w stanowczej chwili, gdy charty już lisa chwyciły, poznaje mój syn ukochaną liszkę, woła, krzyczy, pędzi na złamanie karku na skupione psy, jego towarzysz czyni to samo, dojeżdżacze lecą także na charty tak, że przez konie prawie zdeptane, harapami zbite, za obroże ściągnięte, biedaki, czyniąc powinność swoją zmuszone były puścić swą ofiarę. Syn mój wyrwawszy biedną liszkę uduszoną tuli ją jak zwykle do piersi, prawie płacze nad tem nieszczęściem, wspomina moje słowa prorocze, że ta miłość skończy się fatalnym dramatem i to przez niego samego wywołanym, towarzysz M. B. wtóruje mu w tych lamentach. Lecz Nieba łaskawe a lis twardy, po niejakiej chwili liszka zaczęła oddechać, ruszać się, ucieszeni stawiają ją na nogi, liszka próbuje stanąć, nareszcie staje, robi jeden krok, kilka, wreszcie przyszedłszy zupełnie do siebie idzie i oddala się powoli w stronę naszego ogrodu, zwyczajnego jej mieszkania. Młodzi myśliwi po tej katastrofie stracili gust do dalszego polowania, siadają zmartwieni na konie i z żałobą w sercu, kwaśni, wracają do domu z tą straszną nowiną. W domu w sercach wszystkich żal ich znajduje odgłos, my wszyscy a nawet służy mocno tym wypadkiem poruszeni. Nie ma biednego „potworka“, nie przyjdzie już brać wieczorem bułeczkę umaczaną w mleku, zginie pewnie, bo czyż to być może, aby duszony przez 4 charty mógł odzyskać zdrowie i siłę? Ja tylko miałem nadzieję, że się wyleczy, bo obróżka skórzana z dzwonkiem na szyi mogła służyć tym razem za tarczę wobec psich zębów. Ale spuściłem z tonu, gdy młodzi myśliwi zapewniali, że owej obroży biedna w chwili wypadku nie miała, zerwały ją bowiem charty przy pierwszym ataku. Nazajutrz myśliwi nasi opuszczają Zawidowice, a syn żegnając się uprasza mnie, bym mu doniósł, czy biedny „potworek“ się pokaże i obligiuje wszystkich, aby doglądali wieczorem ganku przed domem, gdzie owa liszka prawie co dzień po przekąskę przychodziła? Przez dwa wieczory ani słychu o liszcze, bo też deszcz lał nieustannie, a ona w taki czas i zdrowa nie zwykła była przychodzić. Trzeciego dnia około godziny 4tej, gdy siedziałem przy oknie czytając gazetę, słyszę naraz dzwonek i widzę liszkę naszą w obróżce z dzwonkiem galopującą przez gazon z kaczką w pysku. Kur i indyków nie było, więc zabrała się do wzgardzonych kaczek. Okazało się, że młodzi myśliwi nasi zupełnie inną liszkę otulili, wypieścili i na wolność puścili. W Nuszczu w dwunastu miotach, strzelb 10, ubito dnia 21. Listopada 1885. 7 rogaczy, 27 zajęcy i 3 lisy, postrzelono rogaczy 4. *Edward Zawidowski Weissmann.*

Stojanów 24. Stycznia.

Na polowaniach odbytych 22. i 23. b. m. w lasach Stojanowskich, własności Henryka hr. Łączyńskiego, na obszarze 3.000 morgów przy samej granicy Wołyńskiej, ubito w 9 strzelb: 2 dziki, 3 kozły, 1 jarząbka, 5 lisów, 106 zajęcy. Obok serdecznej gościnności szan. gospodarza, który nietylko o przyjemności, ale i o wygodach swych gości troskliwie pamiętał, należy podnieść niezmiernie myśliwych zachęcającą okoliczność, że łowy odbywały się z wzorowym porządkiem i szykością. Między 8 a 9 stali już myśliwi na swych stanowiskach, a za pomocą podwójnej nagonki wzięliśmy w pierwszym dniu 23, w drugim 14 miotów, Pomimo sąsiedniej granicy, gdzie ciągle polują tępiąc zwierzynę, zdołał właściciel po kilku latach starannego pielęgnowania doprowadzić do tak pomyślnego zwierzostanu. *W. R.*

Kamienna. Styczeń.

Dnia 11. Stycznia odbyło się polowanie w Turce, majątku p. Em. Torosiewicza, urządzone przez dzierżawcę tego majątku p. J. Abgarowicza. Nie myślę się rozwodzić nad gościnnością sz. pp. Abgarowiczów, gdyż musiałbym ową gościnność postawić na pierwszem miejscu. 20. myśliwych wzięło udział w tem polowaniu, miotów brano 6, ubito zajęcy 93, kozłów 7, lisów 2 i 1 gołębiarza. Zajęcy było tak wiele, że niektórzy myśliwi nie mieli dosyć czasu nabijać swe odtylcówki. Jeśli zwierzostan w tej mierze mnożyć się będzie, to Turka wkrótce zasłynie jako knieja, która rywalizować może z kniejami Czech. Dowód to najlepszy, co staranność zdziałać może, szanował zwierzynę jako zamiłowany myśliwy p. E. Torosiewicz, obecnie idzie w jego ślady rozpoczynający zawód myśliwski p. J. Abgarowicz. W tych kilku słowach wyrażam uznanie i szczerze dziękuję w imieniu swojem i myśliwych w tem polowaniu udział biorących za prawdziwą przyjemność, jakiej doznaliśmy tak w kniei jakoteż w nader gościnnym domu. *G. Głuchowski*

Bieździatka w Styczniu 1886.

Rok zaledwo upłynął, jak zaprowadzoną została w dobrach tutejszych racyonalna hodowla i prawidłowa ochrona zwierzyny, a już właściciel tejże nie małym cieszy się rezultatem. W jesieni polując na ptactwo w jedną strzelbę z wyżłem (wyżeł był dopiero w piewszem polu) w przeciągu trzech do czterech godzin padło strzałów najmniej trzydzieści, gdy dawniej w całym dniu tyle nie strzelano. Mając jednak na względzie ochronę zwierzyny, na inne ptactwo polowano mało, na kuropatwy zaś prócz odstrzelenia czterech sztuk z największego stadka, wcale nie polowano. Ubito tylko 4 kuropatwy, 1 kurkę, 11 chruścicieli, 78 przepiórek na 148 strzałów. Na dwóch polowaniach w lesie z nagonką, z których jedno odbyło się w Listopadzie, a drugie w Grudniu, padło: 1 dzik, 2 rogacze, 7 lisów i 20 zajęcy na strzałów 93. Zważywszy, że polowania te odbywały się w Jasielskiem, gdzie w ogóle stan zwierzyny bardzo ubogi, że na polowaniach tych każdorazowo zaledwo czterech myśliwych było, że teren trudny, bo górzysty potokami poprzerzynany, że polowanie z nagonką tu rzecz niezwykła, gdyż zawsze polowano z psami, to przyznać należy, że trudy i koszta łożone na ochronę zwierzyny już świetny rezultat wydały. W roku ubiegłym ubito szkodliwej zwierzyny: 9 lisów, 1 kunę, 13 psów, 55 kotów, 17 jastrzębków i 165 wron i srók, za które wypłacono straży leśnej 22 zł. 25 ct. Przykład to zaiste jak na te okolice godny naśladowania, a że i tutaj zanosi się na lepsze, wnoszę ztąd, że obecnie głosów gończaków nie słychać zupełnie, a jeżeli jeszcze tu i owdzie jakiś tam kundys brechnie, to z pewnością włościanina dzierżawcy polowania gminnego, których niestety u nas jeszcze sporą liczbę mamy. Gdy ledwie po jednorocznej ochronie zwierzyny dziś już dziesiątkami zwierzyny ubijamy, gdy dawniej z gończakami w dniu całym ledwie jednego zająca zdobyć się udawało, to jest w tem niezawodny dowód, jak świetne rezultaty ochrona zwierzyny daje. Oby wszyscy właściciele większych posiadłości solidarnie ją wykonywali, tego sobie i wam bracia w Hubercie w tym nowym roku najserdeczniej życzę. *Stanisław Mroczkowski.*

Chlebiczyn leśny. Styczeń.

Od lat przeszło dwudziestu polowałem ciągle w moim rewirze z gończymi psami, gdzie rzadko kiedy zdarzało mi się spotkać choćby z nędznym szarakiem, a o sarnim tropie nikt z nas myśliwych nawet nie pomyślał. Dzięki zacnemu sąsiadowi panu Zygmuntowi Piwce, właścicielowi Słobódki leśnej, że mi zeszłego roku kazał w swoim lesie psy postrzylać, od tej pory przestałem zupełnie w moim lesie z psami polować i poleciłem gajowemu ochraniać go, o ile się da, od obcych psów. Po roku wyszedłszy z dwoma myśliwymi i 10 naganiaczami, by się przekonać, czy spokój dla zwierza na co się przyda, po spolowaniu trzech miotów osłupiałem, gdym ujrzał na rozkładzie zabite w trzy strzelby: 1 dzika, 5 kozłów, 7 zajęcy i 2 lisy. Radzę przeto szczerze zaniechać polowania z psami. *Mikołaj Asłan*

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr 18.

Związkowa Drukarnia we Lwowie.